

POLISH FORTNIGHTLY "POLAND OF TO-MORROW"

TREŚĆ

Zatrute źródła — *St. Grabski*Przyczyny upadku Polski —
O. HaleckiPrzemiany demograficzne w
Europie — *K. Laskowiec*

O przywilej dla dzieci w Polsce
— K. B.

Demokracja chrześcijańska.—
A. Romer

Przegląd Polityczny — T. K.

Zagadnienie Polskiej Polityki
Zagranicznej — *T. Kielpiński*

No. 20 i 21

24 APRIL—KWIEŃNIA 1943

CENA 1/-

ZATRUTE ŹRÓDŁA

Coby robił w wojsku polskim agent niemiecki i agent bolszewicki ?

Obaj przede wszystkim wyzyskiwaliby każdą nadarżającą się sposobność, każde nieodpowiednie odezwanie się czy zachowanie któregośkolwiek z oficerów, każdy zawód w oczekiwanych awansach, każdy brak nowoczesnego uzbrojenia — by szerzyć w armii niezadowolenie i osłabiać jej zaufanie do dowódców, w szczególności do naczelnego jej wodza.

Poza tym agent niemiecki od pierwszej chwili zawarcia umowy polsko-sowieckiej krytykowałby ją zawzięcie, dowodząc że wrogiem Polski Nr.1 są jednak bolszewicy, a nie Niemcy. Robiłby on też wszystko możliwe, by doprowadzić do kryzysu rządowego, któryby osłabił zaufanie jakie zyskała sobie Polska zarówno w Ameryce jak i w Wielkiej Brytanii większą niż w jakimkolwiek innym z ujarzmionych narazie przez Hitlera narodów sprzymierzonych z wartością i jednolitością działania w kraju i na wychodźstwie w walce o własną i całej podbitej Europy wolność. A już największym jego w tym względzie wyczynem byłoby wykradanie z archiwów polskiego M.S.Z. not sowieckich, kwestionujących wbrew układowi z 30 lipca 1941 r. całość naszego terytorium państwowego i ogłaszanie ich, zatajając przytym, z jaką każda z tych not spotkała się odprawą ze strony Rządu polskiego.

Agent zaś bolszewicki, początkowo zaniepokojony antyrosyjską propagandą agenta niemieckiego, już pod koniec 1941 r., gdy minęło niebezpieczeństwo zagrażające Moskwie, sam nawet dopomagałby do szerzenia oskarżeń, jakoby układ polsko-sowiecki z 1941 r. pozostawiał otwartą sprawę naszej granicy wschodniej. Gdy tylko bowiem zabłysła na Kremlu nadzieja wejścia wojsk czerwonych wślad za cofającą się armią niemiecką do Polski — nie mogło być nic korzystniejszego dla dyplomacji sowieckiej od twierdzenia samych polaków, iż zawarte w rzeczonym układzie przekreślenie umów z 1939 ZSRR z Niemcami, dotyczących zmian terytorialnych w Polsce, nie jest jeszcze rezygnacją z linii Ribbentrop-Mołotow, ani przywróceniem siły obowiązującej polsko-sowieckiego traktatu pokojowego z r.1921.

Ale to wszystko robili nie obcy agenci — jeno polacy o gorących uczuciach patriotycznych, gotowi każdej chwili oddać swe życie za Polskę. Insynuował swego czasu Piłsudski, jakoby stronnictwa opozycyjne były narzędziem świadomym czy nieświadomym w ręku obcych agentur. Oburzało mnie to wówczas. I obecnie uważam za niedopuszczalną podobną insynuację w stosunku do dzisiejszej

opozycji, w dużej zresztą mierze złożonej z piłsudczyków, którzy wówczas owym frazesem o obcych agenturach gęsto szermowali, a i dziś nim próbują wojować.

Niemniej przeto jest faktem, że są polacy, co więcej polscy patrioci, którzy w swych walkach opozycyjnych używają metod mało co się różniących od tego, co by robili agenci obcych mocarstw dla osłabiania naszej obecnej i tak już bardzo trudnej pozycji międzynarodowej.

Skąd się to wzięło? Jak się to dzieć może? Czy to tylko stare polskie warcholstwo? — Nie, to coś zupełnie innego, coś nowego i zgoła niepolskiego.

W jednym z najpiękniejszych swych kazań, transmitowanych przez radio z Mariackiego kościoła w Krakowie, niezapomnianej pamięci ks. arcybiskup Teodorowicz mówił o zasadniczej różnicy nacjonalizmu chrześcijańskiego od nacjonalizmu pogańskiego, przestrzegając przed tym ostatnim nasz naród, w szczególności młodzież naszą. Podstawą pierwszego jest miłość, — górująca nad wszelkimi innymi ukochaniami : własnej rodziny, gminy, klasy, partii politycznej, umiłowanie Ojczyzny. Podstawą drugiego jest nienawiść nasamprzód wszystkich innych narodów, a następnie i wszystkich nie podzielających tej nienawiści rodaków.

Są narody, w których pojedynczy ludzie, w swym prywatnym życiu bywają naprawdę uczynni, dobrzy, łagodni, w masie swej jednak kierują się tylko zbiorowym egoizmem i żądni są walki aż do zupełnego zniszczenia przeciwnika. W ich życiu publicznym dominują przede wszystkim wszelakiego rodzaju nienawiści.

Nie jest to dziełem przypadku, że właśnie w Niemczech narodziła się teoria socjologiczna Marksa, upatrująca w walce egoizmów klasowych właściwy czynnik wszelkiego postępu społecznego i filozofia Nitschego, gloryfikująca moralność pańską, stojącą ponad różnicą zła i dobra.

Nienawiść też górowała przez liczne wieki we wzajemnych stosunkach państewek włoskich, szczególnie konkurujących z sobą na rynkach światowych miejskich handlowych republik. I w żadnym bodaj innym kraju europejskim nie odgrywało tej co we Włoszech politycznej roli skrytobójstwo : trucizna i sztylet najemnego mordercy. Po zjednoczeniu jednak Włoch i uzyskaniu przez nie niepodległego bytu — kierownictwo opinii publicznej wzięli w swe ręce ludzie, którzy — jak Garibaldi — byli bojownikami wolności, nie tylko włoskiej.

Jakąż anty-tezą "księcia" Machiavela — było znane dobrze i wszystkim polskim dzieciom "Serce" Amicisa . . .

I jakąż antytezą zaboru Abisynii było powzięta na samym początku przeszłej wojny światowej uchwała parlamentu włoskiego domagająca się przywrócenia niepodległości Polsce.

Ale sześćdziesiąt lat życia publicznego Włoch w orbicie zachodnio-europejskiego humanitaryzmu i idei liberalno-demokratycznych nie zdołało usunąć z duszy mas włoskich instynktów wytworzonych wiekami krwawych walk domowych. I do tych instynktów odwołał się Mussolini w swej faszystowskiej "rewolucji".

Cały społeczny program "faszyzmu", ową przesłanną "kartę pracy" wraz z korporacyjną (ale raczej z nazwy tylko niż z treści) organizacją przemysłu proklamował Mussolini dopiero w kilka lat po ujęciu w swe ręce pełni władzy nieograniczonej żadną kontrolą przedstawicielstwa narodowego. To był późniejszy dodatek do faszystowskiej rewolucji. Pierwotną i najistotniejszą jej treścią było postawienie na czele państwa, całej jego zewnętrznej i wewnętrznej polityki nowej "elity", złożonej z byłych "kombatanów".

Było zresztą już teoretyczne dla tego we włoskiej mentalności uzasadnienie: teoria Pareta, określająca politykę jako walkę o władzę nowo powstających "elit" z przeżywającymi się.

A że cała polityka Borgiów, Medicich, Sforzów, d'Este i wielu innych "duce" i condotierów doby Odrodzenia nie była niczem innym, jak tylko walką o władzę — więc w zgodzie i z wiekową tradycją włoską i z najnowszą socjologią włoską było zawołanie Mussoliniego: faszyci na Rzym po władzę. Dla uzasadnienia w opinii najliczniejszych we Włoszech warstw średnio-zamożnych i średnio wykształconych owego "marszu na Rzym" — trzeba było jeszcze jedynie tezy, że najwierniejszym uosobieniem patriotyzmu włoskiego, najbardziej narodową i tym samym najbardziej powołaną do rządzenia Włochami "elitą" są zorganizowani w związkach faszystowskich byli kombataneci.

Uczył to Mussolini po mistrzowsku. Pozyskał on przy tym dla tej tezy i króla i cały wielkokapitalistyczny świat włoski, bezwzględna swą walką z socjalistycznymi, częściowo komunizującymi związkami zawodowymi.

Ale wraz z dojściem do władzy "elity kombatanckiej" weszła do całej polityki włoskiej wewnętrznej i zewnętrznej mentalność kombatancka, wojenna, stawiająca ponad wszystko siłę, odrzucająca wszelkie skrupuły, przeszkadzające w odniesieniu zwycięstwa, uznająca za dobre i słuszne tylko to, co pomaga do pokonania nieprzyjaciela. I wraz z tymi wojennymi metodami myślenia i działania zapanowała w polityce włoskiej i współczesna z czasów wojny totalnej uczuciowość wojenna — nienawiść przeciwnika.

Z wniesienia metod wojennych do polityki przez kombatancką elitę zrodził się nasamprzód we Włoszech nowoczesny pogański nacjonalizm. Doprowadził go do ostatecznych logicznych konsekwencji, uderzających jawnie w całą moralność chrześcijańską — Hitler.

Ale miał on i u nas swą recepcję. I w Polsce zgłosiła swe pretensje do absolutnych rządów elita kombatancka, tym się tylko różniąc od faszystowskiej, że obejmowała ona u nas nie ogół kombatanów, jeno tę część ich, która na początku poprzedniej wojny światowej stanęła pod wodzą Piłsudskiego przy boku Niemiec. I u nas był marsz na stolicę państwa, jeno nie bezkrwawy, jak we Włoszech. Nasz zamach majowy nie ograniczył się do frazesów i gestów wojennych, był on prawdziwą wojną domową. I odniesionym w tej bratobójczej wojnie orężnym swym zwycięstwem legitymowali nadewszystko legioniści swe prawo do rządzenia

Polską wbrew chociażby większości narodu. Nie zawachano się w Sejmie głośno powiedzieć, że ci co weszli do ministerstw warszawskich przez most, nie ustąpią z nich z powodu jakiegokolwiek wyniku głosowania. Bo inna jest wartość kul niż kartek wyborczych.

Wojna domowa została wywyższona jako najdoskonalszy sposób rozstrzygania walki elit o władzę, naczelną jakoby treścią całego życia politycznego będącą. I wraz z tym została wywyższona nienawiść uprawniającą wszelkie bezprawie. W "Strzępach Meldunków" zostało zacytowane następujące pouczenie jakie dał marsz. Piłsudski swym bliskim współpracownikom: moją metodą jest tak utrudniać życie przeciwnikom, by odechciało się im żyć. I wedle tej metody znikł bez śladu gen. Zagórski, umarł wkrótce po wyjściu z więzienia w Antokolu gen. Rozwadowski, byli bici i torturowani w Brześciu przywódcy stronnictw opozycyjnych, wyszedł w stanie agonii po dwu miesiącach więzienia Wojciech Korfanty, który przyjechał do Polski w pełni zdrowia.

Długo nie byłem w stanie zrozumieć na czym polega "ideologia marszałka Piłsudskiego". Bo będąc rzeczywistym dyktatorem, którego woli nikt się nie mógł sprzeciwić, przez zgorą dziesięć lat nie przeprowadził w Polsce ani jednej reformy społecznej, gospodarczej czy prawno-państwowej. Jedynie, jak sam powiedział, "przeszkadzał pracować każdemu Sejmowi". Nie wydawała mi się też dość przekonującą formuła jednego z byłych pomajowych premierów: "ideologia marszałka — bardzo prosta — trzymać za pysk". Podczas długich rozmyślań w więzieniu doszedłem zdaje mi się do zrozumienia tej ideologii. Nie była nią wyłącznie własna jego dyktatura. Piłsudski był urodzonym władcą. Nie widział on przyszłości Polski bez trwale, conajmniej przez szereg dziesięcioleci, rządzącej w Niej warstwy. Szlachta wypuściła ze swych rąk rolę kierowniczą, którą przez cały wiek XIX spełniała nie bez pożytku dla Polski. Mieszczaństwo było samodzielną, czynną społecznie i politycznie warstwą. Wśród włościan i robotników nie było dość ludzi, zdolnych naprawdę do objęcia steru rządów w państwie. Biurokracją, świeżo, nagwałt formowaną z ludzi, którzy poprzednio nie mieli najczęściej żadnej styczności z administracją państwową, trzeba było jeszcze wykształcić i wychować! A przy tym Piłsudski miał odruchową niechęć do wszelkich przepisów prawnych. I oto postanowił on dać Polsce nową zupełnie warstwę rządzącą — stawiając na czele całego życia państwowego zawodowy korpus oficerski. Pseudoparlamentarne rządy Bartla trwały tylko dopóty — dopóki nie spreparowano korpusu oficerskiego odpowiednio do wyznaczonej mu roli rządzącej elity. A potem przyszły wręcz antyparlamentarne i antyliberalne rządy "pułkowników" — z urabianiem opinii publicznej pawkami bojówek sanacyjnych, fałszowaniem wyborów, łamaniem samorządów lokalnych, niszczeniem autonomii uniwersytetów, urzędowaniem Kas Chorych... We wszystkich urzędach referentami personalnymi stali się byli oficerowie. Z nich też rekrutowali się wyłącznie komisaryczni burmistrzowie. Dowódcy garnizonów w większych miastach powiatowych wyznaczała, kto ma być wybranym na prezesa miejscowego koła Towarzystwa Szkoły Ludowej, czy Macierzy Szkolnej albo Sokoła.

Piłsudski rzeczywiście stworzył z zawodowego korpusu oficerskiego warstwę rządzącą. Ale warstwa ta nie okazała się bynajmniej "elitą". Wręcz przeciwnie, wciągawszy armię do polityki Piłsudski obniżył jej wartość bojową. Gisz więcej się zajmował w ostatnich paru latach przysto-

waniem nowych wyborów Prezydenta Rzeczypospolitej — niż wojny z Niemcami.

Natomiast wniosła ona do naszego życia politycznego kult fizycznej przemocy — owe nieszczęsne pacyfikacje, które tak bardzo nam w świecie anglo-saskim zaszkodziły, jednocześnie usuwając zeń jakąkolwiek możliwość uczciwych kompromisów.

W r. 1938 rozmawiałem parokrotnie z min. Kwiatkowskim o zbliżającej się wojnie, i konieczności zespolenia całego narodu. W jednej z tych rozmów minister Kwiatkowski powiedział mi, że rozpoczął konferencje z wybitnymi osobami ze stronnictwa ludowego i obozu narodowego, — ale że od tej chwili nie może uzyskać rozmowy w cztery oczy z marszałkiem Rydzem, gdyż otoczenie jego boi się nade wszystko jakiegokolwiek kompromisu ze stronnictwami opozycyjnymi.

Ideologia Piłsudskiego zbankrutowała nie tylko dla tego, że powołał na warstwę rządzącą nie nadającą się do tej roli grupę zawodową — ale przede wszystkim dla tego, że w nowoczesnej demokracji wogóle żadna klasa, ani grupa zawodowa nie może być warstwą rządzącą. Wyłaniać ją musi z siebie cały naród.

Po śmierci jednak marszałka Piłsudskiego rządy sanacyjne nie byłyby w stanie się utrzymać, gdyby opozycja zdolna była do jednolitej politycznej akcji.

Nie tylko wszakże sanacja przejęła od Włoch koncepcje walki elit o władzę i wojenne tych zmagani politycznych metody. W wyższym jeszcze bodaj stopniu uległ sugestiom pogańskiego nacjonalizmu i to w narodowo-socjalistycznej jego odmianie — obóz wszechpolski. W dużej mierze było to dostosowanie się młodzieży skupiającej się koło stronnictwa narodowego do narzucanych społeczeństwu przez sanację sposobów walki. Bitą przez parę lat przez bojówki sanacyjne młodzież wszechpolska powiedziała sobie wreszcie: teraz my zaczniemy bić. Ale równocześnie był to objaw niebezpiecznego snobizmu intelektualnego. W Polsce, starzy narodowi demokraci przegrali walkę z Piłsudskim. A tymczasem we Włoszech i w Niemczech zwyciężali nowocześni nacjonaści, ponieważ odrzucili masonskie hasła humanitaryzmu demokracji, liberalizmu, tolerancji, kompromisów, którymi żył wiek XIX. To wszystko — wraz z wytworzoną w tymże XIX w. narodową demokracją — jest ginącym już światem. Nowy świat zrodzony z wojny totalnej — rozumie, że treścią życia narodów jest nie pokój — ale walka. A naczelnym motorem walki jest nienawiść.

I zaczęło się systematyczne trenowanie młodzieży wszechpolskiej w nienawiści. Najłatwiej ją było rozbudzić przeciwko żydom. Więc organizowano o wiele skwapliwiej od rozwoju chrześcijańskiego polskiego handlu i przemysłu — bicie żydów. A zaprawione już w nienawiści rasowej bojówki, zaczęto następnie używać do dokumentowania nienawiści inaczej myślących Polaków nawet na narodowo mieszanym kresach: napadu na lokal młodzieży demokratycznej, rozbijania odczytu urządzonego przez akademicką młodzież ludową pod przewodnictwem prof. Bujaka, bicia włościan polskich, przybyłych do Lwowa dla udziału w manifestacji 11-go listopada...

Z tego posiewu nienawiści partyjnej wśród młodzieży narodowej osiągnęła istotną korzyść tylko sanacja. Wiosną 1939 r. wziąłem udział w delegacji do prezydenta Mościckiego 5-ciu członków akademii umiejętności wraz z prof. Glaserem, byłym ministrem i prezydentem Poznania Cyrylem Ratajskim oraz byłym posłem w Wiedniu i Pradze hr. Lasockim. Tego samego dnia byli na zamku ludowcy

z półmilionem zebranych w ciągu 2 tygodni podpisów chłopskich na petycji o amnestię dla Witosa. Następnego dnia odwiedzili Prezydenta kolejno gen. Haller i Ks. Kardynał Hlond. Trzeciego dnia Prezydent przyjął delegację P.P.S. Wszystkie te delegacje przedłożyły Prezydentowi te same postulaty: amnestyj dla emigrantów politycznych, mianowania Rządu Jedności Narodowej złożonego z przedstawicieli wszystkich stronnictw polskich i powołania do życia Rady Obrony Państwa. Wszystkie te petycje Prezydent Mościcki stanowczo odrzucił. Ze sposobu jednak w jaki mówił doszedłem do wniosku, iż gdyby zbiorową delegację na zamek wszystkich stronnictw opozycyjnych poparł pochód pięćdziesięciu tysięcy ludzi, Prezydent natychmiast spełnił by przedłożone mu zadania. Zwróciłem się z tem do stronnictw: P.P.S., Ludowego i Narodowego. Pierwsze dwa wyraziły od razu gotowość wzięcia udziału w takiej akcji. Natomiast członkowie Stronnictwa Narodowego z którymi mówiłem wręcz oświadczyli mi, że wśród starszego społeczeństwa stronnictwo ich rozporządza już niewielkimi w Warszawie wpływami (wykazały to zresztą wyraźnie wybory do Rady Miejskiej), a młodzież narodowa jest tak wychowana, że spotkawszy się z ludowcami i socjalistami zacznie się z nimi bić zamiast wspólnie z nimi demonstrować.

Zapatrzenie się w faszystowskie i hitlerowskie wzory, dochodzące aż do pozdrawiania się wyciągniętą przed siebie ręką, wytworzyło wśród Młodych Obozu Wielkiej Polski krańcowy partyjny izolacjonizm. Naczelnym kanonem ich ideologii było: żadnych z demo-liberalnymi żywiołami kompromisów, bo cała władza musi po załamaniu się rządów sanacyjnych, które wcześniej czy później niechybnie nastąpi, przejść do stronnictwa narodowego, byle nie dopuścić do udziału w spadku po piłsudczykach stronnictw demokratycznych. Spadkobiercami monopartyjnych rządów sanacyjnych mogą i powinni być, mający również monopartyjne w swym programie rządy, nowocześni totalni nacjonaści.

* * *

Gdy młodzież wszechpolska przeprowadziła na walnym zebraniu lwowskiej Bratniej Pomocy rezolucję, zasyłającą Mussoliniemu gratulacje z powodu podbicia Abisynii — na mą uwagę, że jest to sprzeczne z całą naszą tradycją narodową, odpowiadano mi ze strony tej młodzieży, że tylko zwycięstwo ideologii nacjonalistycznej może zapewnić mocarstwową potęgę Polsce, a zwycięstwo obozu narodowego w Polsce jest ściśle związane z uzyskaniem prymatu w życiu całej Europy, totalnego nacjonalizmu nad parlamentarnym i demokratycznym żydo-masonskim liberalizmem.

Nigdy tak jak w owej chwili nie stała mi przed oczyma zasadnicza różnica ideologii młodych obozu wielkiej Polski od ideologii dzisiejszej narodowej demokracji.

Naczelnym nakazem programu demokratyczno-narodowego było stać pilnie na straży niezależności polskiej myśli politycznej i społecznej od obcych wpływów. To był główny punkt konfliktu Dmowskiego z Piłsudskim w 1905 r., że gdy ten ostatni uważał za najważniejsze dopomóc rewolucyjnymi w Polsce wystąpieniami do obalenia caratu — Dmowski sprzeciwiał się wszystkiemu, co mogło wciągnąć polski ruch narodowy w orbitę rewolucji rosyjskiej. A w Galicji za pierwsze nasze zadanie uważaliśmy wykorzenienie z mentalności tamtejszego naszego społeczeństwa ugruntowanej w niej silnie stańczykowskiej tezy o tożsamości polskiego interesu narodowego z mocarstwowymi dążeniami monarchii Habsburskiej.

Cokolwiek kto myśli o dziejach narodowej Demokracji,

choćby najbardziej krytycznie — musi przyznać, że był to prąd ideowy, ściśle narodowy, czysto polski, czerpiący wszystkie swe inspiracje z doświadczeń naszych walk o niepodległość i dokonywujących się w narodzie naszym przeobrażeń społecznych i kulturalnych. Narodowa Demokracja i sama czerpała swe programowe wskazania ze źródeł rodzimych i tego uczyła cały naród. Natomiast Młodzi Obozu Wielkiej Polski, pomimo noszonych przez się "mieczyków Chrobrego" z obcych zaczerpnęli źródła całą swą ideologię totalnego nacjonalizmu rządów monopartyjnych, walki z demokracją i liberalizmem, pogardy dla wszelkiej tolerancji i wszelkich kompromisów, bez których nie jest możliwa jakakolwiek solidarność narodowa, a wreszcie nienawiści nasamprzód rasowej, a potem i partyjnej, nie cofającej się przed stosowaniem metod dopuszczalnych dotychczas tylko w walce z wrogami państwami przeciwko politycznym przeciwnikom wewnątrz własnego narodu i państwa.

A są to źródła zatrute nasamprzód iście pogańską moralnością, a następnie pyszałkowatą samowielbieniem, przeciwstawiającą glorię nowej historycznej ery tworzonej przez zwycięstwo nacjonalistycznego totalizmu — mizerji całych dotychczasowych dziejów narodu.

Nie jest to dziełem przypadku, że jedyny bodaj dzisiaj obrońca wśród naszych historyków doktryny Bobrzyńskiego o nieuchronnym upadku Rzeczypospolitej wskutek śmiertelnych jakoby błędów całej Jej polityki i wad jej państwowego ustroju — jest ściśle związany z obozem sanacyjnym i że z pośród Młodych Obozu Wielkiej Polski wyszła potworna kalumnia, iż zarówno wysiłki Sejmu Czteroletniego ratowania Polski przed dalszymi rozbiorami, jak i wszystkie nasze insurekcje do Kościuszkowskiej po powstanie 1863, były nie dziełem patryjotyzmu i bohaterstwa polskiego, ale smobójcami porywami z poduszczenia masonskiej międzynarodówki. (Giertych — Tragedja dziejów polski). Żeby kto nie wiedzieć jak często w każdym swym zdaniu umieszczał przymiotniki "narodowy", "narodowa", "narodowe" — zrywa swą łączność z tradycją narodową i dziejową myślą narodu, gdy zacznie czerpać z obcych źródeł swą polityczną czy społeczną ideologię. A przecież naród polski to nie dziś tylko żyjąca generacja Polaków — to wieczysta łączność pokoleń przeszłych, teraźniejszych i przyszłych zespolonych nadewszystko tradycyjną myślą dziejową, wciąż uzupełnianą i doskonaloną, ale nigdy nie zrywającą z odziedziczoną po ubiegłych stuleciach spuścizną cywilizacyjną i polityczną.

* * *

Czemu i dla kogo to wszystko piszę — tyle bolesnych wspomnień i gorzkich prawd?

Gdym pisał list do gen. Sosnkowskiego miałem trochę nadziei, że przekonam przewodców opozycji, by zaniechali

środków walki z Rządem o wiele silniej uderzających w Państwo niż w gen. Sikorskiego i jego gabinet ministrów — i że gdy to się stanie, okaże się też możliwym uczciwy kompromis stronnictw wchodzących w skład Rządu Jedności Narodowej i Rady Narodowej z wyłamującymi się dziś z solidarności narodowej ugrupowaniami. Ale po przeczytaniu odpowiedzi gen. Sosnkowskiego nadzieja ta moja zmalała do minimum. Bo gen. Sosnkowski w tej swej odpowiedzi napisał, iż wprowadzić złem jest wykradanie aktów z archiwów własnego państwa, ale zaradzić temu może tylko uświadamianie przez Rząd o wszystkim w czas opinii publicznej. Wedle tego wobec nieinformowania społeczeństwa angielskiego przez przeszło pół roku o żadnych szczegółach rokowań, poprzedzających zawarcie anglo-sowieckiego układu, przeciwnicy premiera Churchilla mieliby prawo wykraść i ogłosić odnośne akty z archiwów państwowych.

Z pewnością jednak nie powiedziałby nigdy gen. Sosnkowski czegoś podobnego Anglikom boby się tem zupełnie w opinii brytyjskiej dyskwalifikował. Cemuż więc głosi on za dopuszczalne wśród Polaków to — co niewątpliwie sam uznaje za niedopomyślenia nawet wśród Anglików? Chyba tylko dlatego, że mu tak wypadło z obliczeń taktycznych.

O wiele jednak więcej, niż zawodowych polityków, w zabiegach i zmaganiach o władzę upatrujących cel główny wszelkich politycznych działań, jest tu na ziemi brytyjskiej Polaków, cywilnych i wojskowych, interesujących się żywo naszym życiem politycznym, czytających skwapliwie wszystkie jawne i tajne opozycyjne pisma i ulotki, zaliczających się nawet do ugrupowań nieprzyjaznych Rządowi — ale mających w gruncie rzeczy służebny, a nie władczy do Polski stosunek i chcących widzieć w polityce narodowej walkę jedynie o należytą pozycję Polski w świecie, a nie o zwierzchniostwo dla swej klasy czy partji lub grupy zawodowej pozycję w Polsce.

Dla nich piszę ten artykuł. I piszę go po to, by ich ostrzec: baczcie pilnie, z jakich źródeł pochodzą idee, sugerowane Wam. Poznacie łatwo, czy pochodzą z rodzimych czy obcych źródeł — po tem, czy są one zgodne czy niezgodne z tradycyjną naszą myślą społeczną i polityczną, oczywiście nie czasów saskich doby upadku, ale naszego wieku złotego, okresu najsilniejszego rozkwitu naszej sztuki i nauki, a zarazem największej potęgi mocarstwowej Rzplitej. Za Sasów hulały po Polsce zajazdy i bojówki spitej szlachty zaściankowej, czy nadwornych pańskich milicji szablami, a nie argumentami przeprowadzające na sejmikach kandydatów swej "fakcji". W dobie zaś Kopernika, Kochanowskiego, Reja, zwycięstw pod Orszą, Kircholmem, Kluszyńcem było w Polsce więcej niż w innych krajach poszanowania wolności i własności obywateli, swobody przekonań politycznych, tolerancji religijnej, zdolności do załatwiania uczciwym i rozumnym kompromisem najważniejszych i najtrudniejszych spraw, do jakich niewątpliwie należało zespolenie Polski z Litwą unją realną, oraz chrześcijańskiej miłości bliźniego, choćby był we wręcz przeciwnym obozie. Gdy gdzieindziej palono inowierców na stosie, u nas Ks. Skarga mówił w jednym ze swych kazań sejmowych: "przebrzydła herezja, ale ludzie zacni i krew ich miła". I na tych samych zasadach budował Sejm Czteroletni naprawę Rzplitej. I te same zasady przyświecały wszystkim naszym walkom o niepodległość. W ich też imię zjednoczył się był cały naród dla odparcia najazdu bolszewickiego w 1920 r.

Prawdziwie narodowa myśl polityczna może być zaczerpnięta jedynie z dziejów naszej wielkiej cywilizacyjnej twór-

URZĄD OŚWIATY I SPRAW SZKOLNYCH

Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road,
London, S.W.1.

zawiadamia o wydaniu podręcznika:

IGNACY CHRZANOWSKI

HISTORIA LITERATURY NIEPODLEGŁEJ POLSKI (965-1795)

Str. 740

Z WYPISAMI

Cena 10/- sh.

Do nabycia we wszystkich polskich księgarniach i kioskach.

czości i świetności Rzplitej, oraz z bohaterskich walk o odzyskanie utraconej wolności.

Kto zaś czerpie swe inspiracje ze źródeł pogańskiego nacjonalizmu włoskiej, czy niemieckiej odmiany — tego polityka z imienia jest tylko narodową — a naprawdę stanowi polską jeno odmianę faszystowskiej, czy narodowo-socjalistycznej międzynarodówki.

I nie będzie napawdę dla niego żadnego w kraju posłuchu. Ucisk niemiecki podniósł na najwyższe szczyty myśl chrześcijańską w kraju i wraz z nią poczucie solidarności narodowej. Nie jest to mała rzecz, że nawet z pośród tych, co przed wojną najgłośniej propagowali nienawiść rasową, nie znalazła się najmniejsza choćby grupka, któraby dała się użyć Niemcom do mordowania Żydów. A były przecież całe oddziały

ukraińców i litwinów, chętnie biorących udział w "likwidacji ghetta warszawskiego".

Kto wracać będzie do kraju z propagandą jakiegokolwiek nienawiści rasowej, klasowej czy partyjnej — tego naród polski od siebie odepchnie.

Więc czyją ambicją jest twórcza po wojnie współpraca z ogółem narodowym — ten jeśli ulegał dotychczas propagandzie hasel "nowoczesnego, totalnego nacjonalizmu", niech się co prędzej z pod ich uroku wyzwoli i wraca do rdzennie polskiego chrześcijańskiego patryjotyzmu, opartego na miłości, a nie na nienawiści; a wtedy nie uczyni on już nigdy nic takiego, coby mógł robić pracujący na szkodę Polski obcy agent.

St. Grabski.

PRZYCZYNY UPADKU POLSKI

Pod tym tytułem ukazał się w nowojorskim "Tygodniku Polskim" obszerny artykuł prof. Oskara Haleckiego, który przytaczamy poniżej w całości

Na wiosnę roku 1917, w przełomowym okresie pierwszej wojny światowej, odbył się w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego cykl odczytów, który cieszył się niebywałym powodzeniem. Tematem jego były "Przyczyny upadku Polski." Nikt z prelegentów wybitnych specjalistów, którzy rozpatrywali po kolei wszystkie dziedziny życia narodowego, nie idealizował bezkrytycznie naszej przeszłości. Wszyscy jednak, z jednym tylko wyjątkiem, do którego wypadnie powrócić, stwierdzili, że mimo pewnego osłabienia sił wewnętrznych, odradzających się zaresztą w przeddzień upadku, główną, decydującą przyczyną rozbiorów była przemoc zewnętrzna.

W napięciu oczekiwania na zmartwychwstanie Polski, ten zgodny głos historyków naszych został przyjęty z uczuciem ulgi i zadowolenia. Ale odezwał się także głos protestu. Wystąpił z nim ten sam znakomity uczony, który od lat głosił pogląd wręcz przeciwny: Michał Bobrzyński. Oczywiście krytyka jego nie miała nic wspólnego ze stanowiskiem wrogiej nam historjografii niemieckiej i rosyjskiej, która dla usprawiedliwienia rozbiorców całą winę zwała na ich ofiarę. Trudno jednak zaprzeczyć, że teza którą Bobrzyński głosił ze szczerego przekonania i poczucia obowiązku patryjotycznego, była nadzwyczaj dogodna dla tych wszystkich, którzy niechętnie się patrzyli na coraz wyraźniejsze plany i możliwości odbudowy państwa, odsądzonego przez nich od wszelkich praw do niepodległego istnienia.

Dziwniejsze jest natomiast, że synteza polskiej tradycji dziejowej, jaką dał Bobrzyński, wywarła także wśród Polaków wrażenie mocniejsze i trwalsze aniżeli jakiekolwiek inne dzieło historyczne, a to już od pierwszego wydania jego zarysu w r. 1879. Mimo całego szacunku dla wiedzy i charakteru autora, trzeba sobie wreszcie jasno powiedzieć, że wpływ jego interpretacji dziejów ojczystych, po dziś dzień bardzo widoczny, był niestety fatalny, a jego wyrok potępienia naukowo nieuzasadniony. Przedewszystkiem został wydany przedwcześnie, nietylko ponieważ autor w r. 1879 miał za sobą zaledwie trzydzieści lat życia i monograficzne tylko badania nad krótkim stosunkowo odcinkiem, głównie średniowiecznym, naszej historii ustrojowej, ale zwłaszcza też dlatego, ponieważ wówczas badania naukowe nad dziejami Polski nie były jeszcze wogóle dosyć daleko posunięte, aby się można było pokusić o syntezę ostateczną. Za ostateczny zaś uważał Bobrzyński swój pogląd na przeszłość Polski

i na przyczyny jej upadku: podtrzymał go bowiem całkowicie w dalszych wydaniach swojej niesłychanie poczytnej książki, aż do ostatniego w latach 1927–29, nie licząc się wcale, conajwyżej w sprostowaniu drobniejszych szczegółów faktycznych, z postępem badań dokonanych w ciągu półwiecza, drogą zbiorowego wysiłku historyków polskich.

W związku z tem należy sprostować często powtarzane twierdzenie, jakoby za Bobrzyńskim stała tak zwana szkoła krakowska naszego dziejopisarstwa. Znakomitych historyków, którzy pracowali i wykładali w Krakowie w drugiej połowie XIX wieku, i na początku XX wieku, łączyła ta sama, coraz bardziej udoskonalona metoda, a przeważnie także wspólne poglądy polityczne. Młynem jest natomiast mniemanie, jakoby oni wszyscy podzielali surowy pogląd Bobrzyńskiego na całą przeszłość przedrozbiorowej Polski od początku XVI wieku, czyli tak zwanych dziejów nowożytnych. Właśnie najwybitniejszy z pośród nich, bodaj czy nie wogóle największy historyk polski: Józef Szulski, wystąpił wszakże jeden z pierwszych z ostrą krytyką książki Bobrzyńskiego, a we własnej, mniej efektownie napisanej, ale dużo gruntowniejszej syntezie naszych dziejów tak odmienne zajął stanowisko, że np. w znanym amerykańskim przewodniku po literaturze historycznej określono je, w przeciwieństwie do krytycyzmu Bobrzyńskiego, — zresztą najnieśluszniej — jako "nacionalistyczne." Wogóle zaś conajwyżej u ks. Walerjana Kalinki można znaleźć drugi wypadek ciemnego naogół oświecenia przedmiotu, którym jednak u niego nie jest całość dziejów przedrozbiorowych, lecz tylko tragiczna chwila samych rozbiorów. Za to już Stanisław Smolka, inny czołowy przedstawiciel szkoły krakowskiej, nie ma absolutnie nic wspólnego z przepisowaną jej koncepcją: najważniejsze swe dzieła poświęcił zagadnieniom, które z kwestją przyczyn upadku Polski nie są związane wcale, a w okresie pierwszej wojny światowej cały swój wpływ i autorytet rzucił na szalę obrony pozytywnych walorów spuścizny dziejowej.

Zamiast sztucznie dzielić historyków polskich na optymistyczne i pesymistyczne "szkoły," lepiej zastanowić się nad zasadniczymi rezultatami ich dociekań w ostatnim okresie naszego dziejopisarstwa. A ponieważ pomniejszych ciele naszej przeszłości zwykle idą za Bobrzyńskim zaczynają od potępienia ustroju dawnej Rzeczypospolitej, warto wspomnieć o jednym z największych uczonych, który

właśnie dlatego jest dla nich wszystkich szczególnie niedogodny, bo jako badacz ustroju staropolskiego doszedł do zgola odmiennych wyników.

Jest nim Oswald Balzer. Chcąc wyeliminować albo co najmniej osłabić jego najkompetentniejsze chyba świadectwo, przeciwstawia się młodego Balzera, który na zjeździe historycznym r. 1890 bronił jeszcze poglądów zbliżonych do koncepcji Bobrzyńskiego, Balzerowi z r. 1915, który w pracy o zagadnieniach ustrojowych Polski wykazał na szerokim tle porównawczem niesłuszność jednostronnego potępienia naszego ustroju przedrozbiorowego i najdobitniej ze wszystkich historyków wskazał na przemoc zjednoczonych sąsiadów jako na *causa efficiens* upadku Polski. Otóż właśnie ten drugi Balzer, wypowiadający sąd dojrzały po wielu latach wyczerpujących, sumiennych badań nad całokształtem naszych dziejów wewnętrznych, będący wtedy u szczytu twórczości, która miała zresztą trwać jeszcze osiemnaście lat, musi być dla nas bardziej miarodajny, aniżeli młody autor kilku rozpraw o charakterze czysto erudycyjnym, który niebawem z uznania godnym samokrytycyzmem i poczuciem odpowiedzialności, sprostował swój pogląd początkowy.

Spotkał się w ten sposób z drugim historykiem ustrojowym, ze Stanisławem Kutrzebą. Jest to bowiem niezmiernie znamienne, że chociaż ten młody badacz polemizował z Balzerem w długim szeregu ważnych, lecz bądź co bądź szczegółowych kwestyj, przecież doszedł tak samo jak on do rehabilitacji ustroju dawnej Rzeczypospolitej. Uderzający fakt, że ci dwaj antagoniści, z których zresztą żaden nie ukrywał słabych i niebezpiecznych stron naszego rozwoju ustrojowego, doszli różnymi drogami do analogicznych wyników w zasadniczej kwestji rzekomych ustrojowych przyczyn upadku Polski, dowodzi najdobitniej jak niesprawiedliwy był wyrok potępienia, tak pośpiesznie wydany i rozpowszechniony. Z dalszych zaś historyków prawa polskiego, którzy się przyczynili do obalenia tego wyroku, należy wymienić przynajmniej Józefa Siemieńskiego, który jak nikt przed nim zdołał wniknąć w istotę staropolskiego życia parlamentarnego na owych sejmach i sejmikach, nieraz stawianych nam poprostu jak odstraszaające przykłady rozstroju.

Badając przyczyny upadku Polski, nie można w żadnym razie ograniczyć się do tak czy inaczej pojętej oceny samego ustroju. Skłonność do takiego ujmowania sprawy słusznie nazwał Stanisław Zakrzewski "ideologią ustrojową." Fakt wybitnie polityczny musiał mieć przedewszystkiem polityczne przyczyny. To też ważnem jest, że także na politykę, zwłaszcza zagraniczną, dawnej Polski badania ostatnich lat kilkudziesięciu rzuciły bardzo dużo światła, uwydatniając jej pozytywne osiągnięcia.

Całkowitej rehabilitacji doczekała się w świetle źródeł, polityka Jagiellonów, nie tylko średniowiecznych, ale także obu ostatnich: wielokrotnie zbijany krytyczny pogląd Bobrzyńskiego na Zygmunta Starego, znalazł pewien odzwiek tylko u Ludwika Kolankowskiego, który za to tem wyżej stawia królową Bonę, Zygmunta Augusta i cały wogóle dorobek polityczny Polski Jagiellonów. Że mocarstwowa rola Polski w Europie, nie skończyła się z wygaśnięciem tej dynastji, tego nikt lepiej nie wykazał od Wacława Sobieskiego: mimo daleko posuniętego krytycyzmu wobec Zygmunta III i jego otoczenia, znakomity ten historyk polskich idei wolnościowych słusznie podniósł zasługi obu pierwszych pojagiellońskich pokoleń, a wielkość Zamoyskie-

go czy Żółkiewskiego jeszcze urosła po studjach jego i jego szkoły.

Zgodnie też z wynikami nauki, intuicja Sienkiewicza, którą już tutaj trzeba wyraźnie podkreślić, wybrała okres klęsk, ciągnących się od Żółtych Wód do kapitulacji Kamieńca Podolskiego, jako świadectwo niespożytych sił żywotnych Rzeczypospolitej. Wszak z opresji politycznej jakiej nie zaznał żaden inny naród, potrafiła ona wtedy wyjść, nie bez nieuniknionych niemal strat terytorjalnych, ale przecież jako organizm niezłamany, zdolny jeszcze do wielkich tryumfów politycznych. Że takim tryumfem, a wcale nie jakąś nierealną donkiszoterją, dobrą tylko dla efektów propagandowych, była odsiecz Wiednia, o tem powinny być przekonać już z okazji jej dwusetlecia żmudne dociekania Franciszka Kluczyńskiego, a przekonały chyba, w związku z rocznicą o pięćdziesiąt lat później prace szeregu historyków naszej wojskowości i dyplomacji z Marjanem Kukiem na czele.

Szczególna uwaga należy się dziejom naszej kultury, albowiem właśnie w tej dziedzinie jeden z prelegentów z r. 1917, Józef Kallenbach, dopatrywał się największego załamania się. O nieporozumienia tu istotnie nie trudno. Muszą one powstać, jeżeli chce się odtworzyć życie staropolskie na podstawie źródła niezwykle barwnego, ale na wskroś jednostronnego, jakim są akta sądowe. Kto jednak uległ temu złudzeniu, czytając "Prawem i lewem" Władysława Łozińskiego, tego przekona o popełnionym błędzie ten sam autor w swym najdoskonalszym dziele o "Życiu polskim w dawnych wiekach." Nie można też, jak to uczynił J. St. Bystron w niepospolitych skądinąd tomach o staropolskim obyczaju, zaufawszy zanedo metodzie socjologicznej, rozciągnąć na całe trzy wieki przedrozbiorowe, danych zaczerpniętych niemal wyłącznie z okresu 1650-1750, który obfituje w charakterystyczne źródła, ale jest właśnie okresem największego obniżenia się poziomu kulturalnego.

Jak wysokim, prawdziwie europejskim był ten poziom bezpośrednio przedtem, i to od dwustu zgorą lat, tego nauczyliśmy się od tak ścisłego i krytycznego badacza, jakim jest Stanisław Kot, a nauczymy się jeszcze lepiej, gdy wyzyskane zostaną wszystkie nagromadzone pod jego kierunkiem źródła do dziejów naszych stosunków kulturalnych z Zachodem i gdy wreszcie zostanie opracowane promieniowanie kultury polskiej na Wschód. Jak szybko zaś odrodziła się ta kultura po przełomowym wystąpieniu ks. Stanisława Konarskiego i jak jej ponowny rozkwit za Stanisława Augusta łączy się z ogólnem odrodzeniem całego życia wewnętrznego, z wielką reformą ustrojowo-społeczną dokonaną właśnie przed ostatecznym rozbiorem, tego chyba nie potrzeba przypominać po długim szeregu podstawowych prac: od Tadeusza Korzona do Bronisława Dembińskiego.

Streszczając się, można powiedzieć, że gruntowne przestudjowanie całego przebiegu naszych dziejów, za pomocą ogromnego, przedtem nieznanego materiału źródłowego, dało na dręczące cały naród pytanie o wartości naszej spuścizny historycznej i o powodach katastrofy rozbiorowej Polski odpowiedź jasną i wyraźną. Dawna Polska nie była jakimś wyjątkowym narodem wybranym bez żadnych błędów i win, czego zresztą nigdy nie twierdził żaden z naszych poważnych historyków. Ale nie była też jakimś narodem wyjątkowo niezdolnym do życia państwowego, o wadliwym ustroju i niższej kulturze, który sam spowodował swój upadek. Istotnych zaś przyczyn tego upadku, który nastąpił właśnie w czasie coraz skuteczniejszego postępu wewnętrznego,

należy szukać w polityce zjednoczonych i przemożnych w danej chwili sąsiadów.

Przeciwko tej zgodnej opinii nauki, ustalającej się coraz bardziej po odzyskaniu niepodległości, wystąpił dopiero w latach 1933–35 całkiem odosobniony historyk, a to pod hasłem zasadniczej rewizji naszych dziejów. Olgierd Górka jest niewątpliwie poważnym, zasłużonym badaczem, który ogłosił cenne przyczynki do historii średniowiecznej i wyspecjalizował się w zakresie stosunków polsko-rumuńskich. Ale niestety, nie mając za sobą żadnych dzieł o szerszym zakresie ani wogóle żadnej pracy z historii nowożytnej, nagle zarzucił całej naszej historjografii dotychczasowej mylny zupełnie pogląd na przeszłość narodu i, podejmując dawne zarzuty Bobrzyńskiego na ustrój Rzeczypospolitej, rozszerzył je na cały jej dorobek historyczny, zwłaszcza na jej dzieje dyplomatyczne i wojskowe. Uczynił to w sposób wybitnie publicystyczny, w broszurze, która zaatakowała nietylko historyków naukowców, ile — Sienkiewicza, a mianowicie tę z jego powieści historycznych, która cieszy się najpowszechniejszym uznaniem: „Ogniem i mieczem”. W ten sposób udało mu się wywołać sensacyjne wrażenie u szerokiego ogółu, ale wszyscy bez wyjątku historycy, bez różnicy wieku, specjalności, czy nastawienia politycznego, natychmiast wypowiedzieli się przeciwko tak pojętemu „rewizjonizmowi”. Jeśli zaś chodzi o najjaskrawszy szczegół: odbronzowanie Jeremiego Wiśniowieckiego, to niemal równocześnie ukazała się pierwsza naukowa biografia księcia, źródłowa praca Władysława Tomkiewicza, która wykazywała, że aczkolwiek, „Jarema” nie był idealnym rycerzem bez skazy, to jednak w rzeczywistości był dużo bliższy bohaterowi Sienkiewiczowskiemu, aniżeli tego już nietylko niepoprawnego warchoła, ale nieomal zdrajcy i tchórza, jakim go chciał zrobić Górka.

Mimo to ten ostatni nie dał za wygraną i na zjeździe historyków polskich w Wilnie, w r. 1935, podtrzymał swoją koncepcję, że nietylko byliśmy winni własnego upadku, jak twierdził Bobrzyński, lecz „trzykroć winni”. Wysunął zarazem pomysł „odwrócenia pojęć”, starając się wykazać, że ta właśnie koncepcja nie jest pesymistyczna, lecz optymistyczna, bo z win przeszłości może się poprawić — właściwie już się poprawia — Polak współczesny. Znowu prelegent potrafił wywołać zaciekawienie, ale znowu literalnie nikt ze zgromadzonego w Wilnie nieomal w komplecie polskiego świata historycznego nie podzielił jego ryzykownych a często wręcz paradoksalnych poglądów. Atak się nie udał i zdawało się, że spór stopniowo przycichnie.

Tymczasem wybuchła druga wojna światowa. Jej pierwszy zaraz miesiąc przyniósł nam katastrofę, którą wprowadzie tylko nasi wrogowie nazywają ponownym „upadkiem” Polski, która jednak w następstwie klęski poniesionej w kampanji wrześniowej zwała na cały naród pasmo niebывалych cierpień i nieszczęść połączonych z poważną troską o przyszłość. I tę właśnie chwilę wybrał Olgierd Górka, jeden z bardzo nielicznych historyków polskich, którzy znaleźli się na wolności, aby raz jeszcze rzucić swój wyrok potępienia, nietylko na wszystkich, którzy kiedykolwiek opisywali naszą przeszłość, rzekomo „narkotyzując” tylko naród, ale na tę przeszłość samą, zarówno dalszą, jak i bliższą. Ciężka to zaiste odpowiedzialność.

Nie znalazłszy żadnych nowych argumentów, autor twierdzi teraz, jakoby jego „najpoważniejszy” do niedawna przeciwnicy przeszli na jego stronę i przyznawali mu rację. Jednym z nich ma być Władysław Konopczyński, o czym rzekomo świadczą jego „Dzieje Polski Nowożytnej”. Otóż

warto przeczytać, co Konopczyński, obecnie nie mogący się bronić, napisał już po wydaniu tego swojego dzieła o „ataku rewizjonistycznym” Olgierda Górki na całą niemal polską historjografię, który wywołał „nielada burzę”: „Zaczawszy od ataku na Jaremę Wiśniowieckiego rozszerzył potem akt oskarżenia na całą szlachtę, aby w konkluzji na zjeździe wileńskim 1935 r. przypisać całej Polsce upadającej, a nie obcym mocarstwom, odpowiedzialność za rozbiory. Poglądu tego, o ile wiadomo, nikt jednak nie podzielił!” (Kwartalnik historyczny, r 1937, str 301 —).

Drugim nawróconym oponentem ma być niżej podpisany „Prof. Halecki — pisze prof Górka (Nowa Polska, Nr 1, Londyn 1942, str 46) — niestety dopiero w Paryżu po katastrofie 1939 r, przyznał otwarcie w druku, że w swym odwróceniu pojęć optymizmu i pesymizmu w polskiej historjografii, czyli w zasadzie polskiego rewizjonizmu — miałem rację”. Nie wierzyłem własnym oczom. Wszak w broszurce o Polsce, którą wydałem w Paryżu w styczniu 1940 r. (Collection Descartes — Les nations martyres: Pologne, ed. Albin Michel, str. 16) napisałem właśnie coś wręcz przeciwnego. Oświadczając się stanowczo za tezę, że przyczyną rozbiorów była „l'agression concertee des voisins”, a nie jakiś wewnętrzny „defaut organique”, postawiłem pytanie, czy może wobec tego nasz upadek był fatalną koniecznością. „S'il en etait ainsi — pisałem dalej — un des historiens polonais contemporains aurait eu raison de formuler l'avis paradoxal que cette these optimiste, est au fond plus pessimiste que l'autre”. Poczem szczegółowo dowodzę, że tak nie jest, i w konkluzji podtrzymuję tezę o winie sąsiadów.

Wynika stąd chyba jasno, że mimo bolesnego wrażenia katastrofy 1939 r. nie wyparłem się swej wiary w wielką przyszłość Polski i nie zmieniłem wcale swego poglądu naukowego na Rzeczpospolitą przedrozbiorową. Zmienił natomiast prof. Górka swój pogląd na przeszłość najświeższą, na Rzeczpospolitą z lat trzydziestych. W pierwszej swej kampanji rewizjonistycznej przeciwstawiał potępionym przodkom naszym Polaka współczesnego, który, jak pisał w stomilowanych butach idzie ku wielkości. Dziś swój wyrok rozciąga także na Polskę przedwrześniową, byle tylko podtrzymać swoją „optymistyczną” tezę, że wszystkim swym nieszczęściom Polacy zawsze muszą być winni sami.

Dyskusja na ten temat mało już miałaby wspólnego z nauką. Nie chcę też rozwodzić się nad tem, jakie czynniki polityczne, tkwiące w ideologiach wszystkich naszych stronnictw, i jakie momenty psychologiczne — z jednej strony snobizm człowieka „nowoczesnego” wobec poprzedników z drugiej obawa przed posądzeniem o reakcyjność i zacofanie — przyczyniają się do przychylnego przyjmowania tak zwanego rewizjonizmu historycznego, mimo braku naukowych dowodów. Warto natomiast zastanowić się nad dwoma innymi bardzo istotnymi pytaniami.

Czyż naprawdę, jak pisze Górka, musimy wybrać między mesjanistyczną interpretacją naszych dziejów a tą, jaką dał Bobrzyński, między wizją „Przedświtu,” u snobistycznego (sic!) Krasińskiego, a „narodów pawiem i papugą” Słowackiego? Otóż na szczęście tak nie jest. Nauka musi wystrzegać się właśnie wszelkich, jednostronnych skrajności. Dla historyków, przekonanych o tem, że Polska upadła wskutek przemocy sąsiadów, pozostaje mimo to szerokie pole do badań nad błędami, zwłaszcza politycznymi, którymi Polska sama się przyczyniła do spotężnienia swych wrogów.

Takie błędy, oprócz wielu innych ujemnych stron naszej przeszłości, które nie pozostają w związku przyczynowym z rozbiorami, można znaleźć na całej przestrzeni naszych

dziejów. Największy, najbrzemienniejszy w skutki, został popełniony przeszło 700 lat temu, gdy ks. Konrad mazowiecki osadził Krzyżaków nad Wisłą. Mniej powszechnie znane są fatalne błędy wobec obu sąsiadów popełnione w smutnym okresie saskim, którym ze zrozumiałych powodów nie lubimy się zajmować. Jednym z nich było najniepotrzebniejsze w świecie sprzymierzenie się z Piotrem Wielkim i wzięcie udziału, po jego stronie, w tak zwanej Wojnie Północnej, która dała Rosji mocarstwowe stanowisko w Europie. Błąd ten, rzecz znamienna, nie został popełniony przez naród, lecz przez króla Augusta II. Drugim błędem, za który już oprócz jego następcy, Augusta III, i jego saskich doradców odpowiada też naród, co prawda wyczerpany po skutkach tamtej wojny, była neutralność wobec zaboru Śląska przez Fryderyka Wielkiego. Zabór ten wydawał się dotyczyć tylko Austrię, względnie Czechy, w rzeczywistości jednak dał stanowisko mocarstwowe Prusom i pozwolił im okrążyć już nie tylko nasz "korytarz," lecz także Wielkopolskę.

Na drugie pytanie, czy mianowicie z tezy o zewnętrznych przyczynach upadku Polski wynika "pesymistyczna" konkluzja, że w takim razie nic nie mogliśmy i nie możemy poradzić na grożące niebezpieczeństwo, można na szczęście również odpowiedzieć negatywnie. Trzeba tylko odrzucić cały determinizm geograficzny, który od dawna wmawia światu nauka niemiecka, obecnie pod modną nazwą "geopolityki." Nie ziemia, lecz człowiek kształtuje dzieje. Nasze położenie, aczkolwiek niebezpieczne, ułatwiało przecież naszą własną ekspansję w czasach, gdy nasi sąsiedzi na zachodzie i na wschodzie sami byli za słabi, aby nam zagrażać. Taka sytuacja zdawała się powracać po pierwszej wojnie światowej. Wiemy dziś, że było to złudzenie, którego trzeba będzie wystrzegać się po drugiej. Ale za to istniały i istnieją środki zaradcze nawet przeciwko takim sąsiadom, z których każdy z osobna jest od nas silniejszy.

Nie jest takim środkiem połączenie się z jednym przeciwko drugiemu. Dawnej Polski nie uratowali przed upadkiem ani ci, którzy starali sobie zjednać "wspaniałość" carowej, ani ci, którzy uwierzyli w lojalność sprzymierzeńca pruskiego.

Stronnictwo patriotyczne miało jednak to usprawiedliwienie, że zawierając przymierze z Prusami, liczyło na to, że w ten sposób Polska wejdzie też w sojusz z Anglią z którą Prusy, tak samo jak Holandia, były wówczas sprzymierzone. Aczkolwiek ta nadzieja zawiodła z przyczyn, doskonale wyjaśnionych przez badania Bronisława Dembińskiego, stwierdzić trzeba, że przymierza Polski z mocarstwami zachodnimi stanowiły i stanowią właśnie pierwszy realny środek, mogący zaradzić zagrożeniu Polski przez bezpośrednich sąsiadów. Dzięki takim właśnie przymierzom Polska współczesna nie upadła po przegranej kampanii wrześniowej, lecz mogła dalej walczyć, a mając dwóch sojuszników, mogła kontynuować walkę nawet po klęsce jednego z nich. Że do tradycyjnych sprzymierzeńców naszych na zachodzie Europy obecnie przybyły także Stany Zjednoczone Ameryki, to jest całkiem nowy moment w naszym rozwoju dziejowym, zadający kłam wszelkim fatalistycznym wnioskom wysnuwanym z naszego położenia geograficznego.

Odwiecznym natomiast czynnikiem otwierającym przed Polską konkretne możliwości wzmocnienia i zabezpieczenia się, jest idea federacyjna. Jako idea Jagiellońska pojawia się ona już na schyłku XIV wieku i wystarczy porównać mapę historyczną Europy przed i po układzie Krewskim 1385 r., żeby się przekonać o skuteczności takiej właśnie

polityki. Sto lat później zaś system jagielloński objął tak rozległe obszary, że analogja z sytuacją dzisiejszą jest jeszcze bardziej uderzająca i pouczająca.

Różnica zasadnicza między daleką już przeszłością a możliwościami przyszłości polega na tem, że niebezpieczeństwo, które zagraża federującym się narodom zarówno od zachodu, jak i od wschodu, wzrosło dzisiaj niepomniennie. Z drugiej strony jednak zacieśniły się związki między wszystkimi narodami, nie tylko w Europie, lecz na całej kuli ziemskiej, które dążą do zapewnienia zbiorowego bezpieczeństwa. Stąd plany ogólnej organizacji międzynarodowej, ogólnej organizacji międzynarodowej, któraby także Polsce zapewniła pokój, niepodległość i nienaruszalność jej granic, plany, które przed wiekami miały całkiem utopijny charakter, i mimo Ligi Narodów zawiodły po pierwszej wojnie światowej, teraz, po strasznych doświadczeniach drugiej, powinny się stać trzecim środkiem zaradczym, uzupełniającym dwa tamte.

To też Polska, popierając projekty federacji regionalnej i organizacji uniwersalnej, czyni to zarówno z pobudek ideowych, jak też na podstawie własnych doświadczeń historycznych. Chcąc jednak pozostać wierną swej tradycji dziejowej, powinna ona przystąpić do takich związków, miejscowych czy też ogólnych, pod trzema warunkami.

Pierwszym z nich jest zachowanie indywidualności własnej. Wolność, całość i niepodległość — to nie tylko hasło pierwszej naszej insurekcji i wszystkich następnych, to myśl przewodnia naszych tysiąc-letnich dziejów, właśnie dlatego, bo te drogie nam zasady były tak często zaprzeczane przez naszych sąsiadów. Do współpracy regionalnej i międzynarodowej możemy przystąpić tylko jako *wolni z wolnymi*.

Nie możemy też przystąpić do niej jako niegrzeczne, marnotrawne dzieci, które mają dopiero obiecać poprawę i czekać na pouczenie. Nie możemy wyprzeć się naszej spuścizny dziejowej, przemycając z niej w najlepszym razie Kopernika i Konstytucję 3-go Maja. Bez megalomanji, bez jakiegokolwiek zamiaru wywyższania się nad innych, musimy jednak wystąpić jako równouprawnieni współdziedzice kultury Zachodu, jakimi jesteśmy od r. 966; od wejścia do wielkiej rodziny chrześcijańskich, łacińskich narodów przed blisko tysiącem lat, i jako równouprawnieni współtwórcy tej kultury, jakimi jesteśmy co najmniej od r. 1364. od założenia Uniwersytetu Krakowskiego.

Równi z równymi.

Obok wolności i równości chcemy też braterstwa, a to w tem znaczeniu w jakim je pojmowała nasza polska filozofja dziejów, od wiekopomnych słów aktu horodelskiego o "mysterium caritatis" do promiennej wizji, jaką Augusta Cieszkowskiego natchnęła Modlitwa Pańska. A więc jednak mesjanizm? I tak i nie! W strasznych dla nas chwilach zimy z r. 1939 na 1940, nieznany przyjaciel Polski, ks. Journet z Fryburga szwajcarskiego, ogłosił we wzruszającej książce zbiorowej p. t. "Le chant de la Pologne," głębokie studjum o polskim mesjanizmie, w którym poddał krytyce jego mylne pierwiastki, ale uwydatnił też jego trafną ideę przewodnią; postulat wprowadzenia etyki chrześcijańskiej do stosunków między narodami. Chcąc się przyczynić do tego, aby współpraca różnych narodów wreszcie stała się skuteczną, musimy przystąpić do niej nie z bluźnierczą nieomal pretensją do odegrania roli Chrystusa narodów, ale prosto jako *naród oddany Chrystusowi*.

Oskar Halecki.

PRZEMIANY DEMOGRAFICZE W EUROPIE

Wojna ogromnie utrudnia badanie rozwoju demograficznego Europy. Z niektórych krajów brak statystyki ludnościowej, w innych wędrowni ludności przybrały tak poważne rozmiary, iż trudno wywnioskować, jaki będzie normalny, powojenny rozwój demograficzny zwłaszcza gdy wnioski trzeba wyciągać na podstawie ułamkowych, niekompletnych zestawień. Jest to wszakże temat tak interesujący, a zagadnienie liczebnej siły narodów europejskich tak ważne, iż warto przyjrzeć się tym procesom.

Otóż pierwsze stwierdzenie, jakie się nasuwa, to zmniejszenie się przyrostu naturalnego. To zjawisko, stwierdzone już w ub. wieku, a coraz wyraźniejsze w bieżącym stuleciu, trwa nadal. Właściwie tylko w Niemczech zdołano, po objęciu władzy przez Hitlera, proces ten zahamować, a nawet odwrócić, bo przyrost naturalny zwiększył się wydatnie. Ale już przed wojną statystycy wyrażali wątpliwość, czy ten wzrost będzie objawem trwałym.

Weźmy pod uwagę najpiwerw kraje neutralne. W Portugalii liczba urodzeń wynosiła w roku 1939 ogółem 198.888, w roku 1940 — 187.892, a w roku 1941 jeszcze mniej, bo 183.109. Spadek nie jest spowodowany wojną, bo równocześnie w tym samym stopniu zmniejszyła się śmiertelność, co wskazuje, że nie było ani głodu ani epidemii, które to czynniki tak przerzedzają ludność innych krajów.

W Szwajcarii odbył się spis ludności w grudniu 1941 r. Okazało się, że w ostatnim dziesięcioleciu nadwyżka urodzeń nad zgonami zmalała o 30 procent. Ludność wprawdzie jeszcze wzrastała prawie o pół procent rocznie (dokładnie 0,42 proc.), ale to się tłumaczy spadkiem śmiertelności. Cyfra urodzeń jest tak mała, iż po pewnym czasie zacznę ludności ubywać, podobnie jak się to już dzieje we Francji. Ogółem Szwajcaria liczy 4.256.544 mieszkańców, czyli 103 ludzi na kilometr kwadratowy.

Bułgaria uchodziła dawniej za kraj o bardzo wysokim przyroście naturalnym. W latach 1939 i 1940 przyrost ten już nie dochodził do 9 promille (co zresztą byłoby dużo, jak na europejskie stosunki) i wprawdzie jeszcze wcale nie zanosy się na zmniejszenie się ludności Bułgarii, ale i tam będzie coraz mniej młodzieży, a coraz więcej starców. Bułgaria w granicach przedwojennych liczyła 6.308.000 mieszkańców, co daje 61 głów na kilometr kwadratowy.

Portugalia to kraj z ludnością romańską, Szwajcaria — przeważnie germańską, Bułgaria — słowiańską. W Szwajcarii stopa życiowa jest wysoka, w Bułgarii dość niska. Jak się zatem okazuje, spadek przyrostu naturalnego trwa w różnych krajach, bez względu na rasę i stopę życiową.

Ale są wyjątki i to najzupełniej niespodziewane. Oto z dwóch krajów pod okupacją niemiecką, donoszą o wzroście odsetka urodzeń. Mianowicie w Danii w ciągu trzech lat wojny przyrost naturalny miał wzrosnąć z 0,74 proc. na 0,81 proc., a potem 1,04 proc. rocznie.

Podobne zjawisko stwierdza statystyka niemiecka w t. zw. Protektoracie Czesko-Morawskim. Tu niełatwo porównywać nowe cyfry z przedwojennymi, gdyż t. zw. Protektorat stanowi obszar sztuczny najzupełniej dowolnie wycięty z żywego organizmu Czechosłowacji. To w każdym razie pewne, że obszar ten ma olbrzymią większość czeską, gdyż t. zw. Sudetenland został włączony bezpośrednio do Rzeszy. Otóż przed wojną urodzenia wśród ludności czeskiej wynosiły mniej więcej 16 pro mille (znacznie wyższe były w Słowacji, a rekordowe na Rusi Podkarpackiej), natomiast

w r. 1940 miały wzrosnąć do 16,7 pro mille, w rok później do 17,3, w pierwszym kwartale 1942 r. — 18,1, a w drugim kwartale 1942 r. — do 19,1 pro mille. Naturalnie trzeba tu podkreślić, że są to urodzenia, że należałoby dla całości uwzględnić śmiertelność, że żadna statystyka nie uwypatnia strat biologicznych, jakie naród czeski poniosł skutkiem barbarzyńskiego terroru Heydricha i jego następców. Czy zresztą statystyka niemiecka nie kłamie?

Gdybyśmy jednak przyjęli, że dane statystyczne są prawdziwe, to te przemiany w Danii i Czechach należałoby uznać za przejaw niezłomnej woli życia. Warunki są trudne, okupant panoszy się i z pogardą mówi o małych narodach; zagrożone masy — a Czechów Niemcy chcieliby wyniszczyć — odpowiadają wzrostem, niewielkim co prawda przyrostu naturalnego. Widać zdrowy instynkt mówi, że trzeba zablizniać rany, wypełniać szczyby, spowodowane przez okupanta. Jest też rzeczą bardzo prawdopodobną, że pośrednio oddziaływała tu propaganda niemiecka, wzywająca "Herrenvolk" do rozradzania się. Ludy podbite też umieją wyciągać wnioski z tej propagandy, choć ona nie dla nich przeznaczona.

Trzeba jednak pamiętać, że Dania oraz Czechy z Morawami stanowią całkiem wyjątkową grupę krajów europejskich. Są okupowane przez Niemców, lecz jak dotychczas są oddalone od terenów walk, bombardowane są rzadko, mają wysoką produkcję rolną i wreszcie nie mają swej młodzieży ani w niemieckich obozach jeńców ani na polach walk. Dla ścisłości stwierdzić trzeba, że są i walczą z Niemcami wojska czechosłowackie, lecz nie stanowią one poważnego odsetka ludności Czech i Moraw.

Inaczej, znacznie gorzej kształtuje się ruch ludności w krajach, które walczyły z Hitlerem (np. Francja, Belgia, Holandia) albo po jego stronie) Finlandia, Rumunia).

Jak wiadomo, Hitler celowo trzyma w niewoli miliony młodych jeńców, by utrudnić pokonanym narodom zabliznienie ran. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do Francji, której bilans ludnościowy kształtuje się wybitnie niepomyślnie.

Żaź przed obecną wojną cyfra zgonów we Francji zwykle przewyższała cyfrę urodzeń. W r. 1939 deficyt wynosił 29 tysięcy głów. W roku 1940 wzrósł do 174 tys., gdyż naliczono tylko 560 tys. urodzeń, natomiast aż 734 tys. zgonów. W tej cyfrze jest co prawda 17.434 cywilnych ofiar wojny (na skutek bombardowania), nie ma jednak strat wojskowych, które były prawdopodobnie czterokrotnie wyższe. Należy jednak stwierdzić, że Francja nie chce wymierać. W r. 1941 cyfra urodzeń podniosła się podobno do 581 tys. Ale ponieważ powodu bardzo trudnych warunków aprowizacyjnych śmiertelność była wysoka, więc zarówno w r. 1941 jak w 1942 deficyt był duży. Cyfr dokładnych brak, zresztą jest rzeczą wątpliwą, czy wobec wstrząsów, jakie przeżyła Francja, statystyka ruchu ludności może być dokładna.

Belgia liczyła z końcem grudnia 1941 r. ogółem

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków

zyczyłby sobie NOWY TESTAMENT lub EWANGELJĘ Św. JANA w języku polskim, proszę się zwrócić pisemnie do:

p. S. K. HINE, 110 Christchurch Road, London, S.W.2

8.257.392 mieszkańców i ma również deficytowy bilans ludnościowy. W r. 1939 było jeszcze o 9.732 urodzeń więcej niż zgonów, rok 1940 przyniósł deficyt — 13.512, rok 1941 — aż 37.282 głów. W tych cyfrach brak strat wojсковych z kampanii w maju 1940 r. Należy się obawiać, że wobec głodu, o jakim niedawno mówił premier Pierlot w Londynie, bilans za rok 1942 będzie jeszcze bardziej ujemny. Warto podkreślić, że cyfra urodzeń spada stale: w r. 1939 — 126.257, 1940 — 11.323, 1941 — 98.417. Z politycznego punktu widzenia ważne jest także to, że Wallonowie ponoszą większe straty niż Flamandowie.

Z państw walczących po stronie Hitlera zasługuje na uwagę Finlandia. Jej krótka, lecz ciężka wojna z Rosją w zimie 1939/40 r. odbiła się na ruchu ludności, lecz po zawarciu pokoju cyfry urodzeń znowu zaczęły wzrastać. Ogółem naliczono w r. 1940 coś 66 tys. urodzeń, w r. 1941 przeszło 89 tys. Ale w r. 1942 już dały się odczuć skutki totalnej mobilizacji. Wszak Finlandia trzyma pod bronią 16 procent ludności. Cyfry zgonów są spewnością wysokie, zwłaszcza, jeśli się uwzględni straty wojenne. Podczas pierwszej wojny z Sowietami Finowie tracili — według własnych obliczeń — miesięcznie około 5 tysięcy zabitych. Obecnie walki są mniej krwawe, Finowie ograniczają się do defenzywy, lecz dla tak małego narodu strata chociażby 1.000 żołnierzy miesięcznie jest dotkliwym ubytkiem. Należy więc przewidywać, że i Finlandia wyjdzie z wojny obecnej bardzo osłabiona pod względem biologicznym.

Przejdźmy teraz do narodu, który tę wojnę wywołał, który starał się różnymi wyrafinowanymi sposobami powiększyć straty swych sąsiadów i który od początku ery Hitlera zabiegał, by swój bilans ludnościowy jak najbardziej poprawić. Przed rokiem, w 2-gim numerze „Jutra Polski” omawiałem to zagadnienie w artykule „Przemiany w Niemczech.” Tym razem pragnę przytoczyć kilka cyfr nowszych.

Niemiecki miesięcznik „Wirtschaft und Statistik” ogłosił dane za pierwsze półrocze 1942 r. Wynika z nich, że krwawa i przewlekła kampania rosyjska miała ogromny wpływ na kształtowanie się przyrostu naturalnego w Niem-

czech. Mianowicie w 1-szym kwartale 1942 r. zanotowano tylko 16 urodzeń na 1.000 mieszkańców, w drugim kwartale 15,5, podczas gdy n.p. w drugim kwartale 1939 r. zanotowano 20,8 pro mille. Porównuje się tu oczywiście właściwą Rzeszę bez inkorporowanych do Rzeszy obszarów polskich. Śmiertelność jest podobno niewielka (13 pro mille) lecz za to straty wojskowe są od połowy 1941 r. bardzo poważne. Ponieważ w drugiej połowie ub. r. nastąpił zapewne dalszy spadek liczby urodzeń, przeto obecnie ludność Niemiec zmniejsza się prawdopodobnie o 1 procent. rocznie. Ale straty te są tym groźniejsze, iż na polach bitew giną przeważnie ludzie młodzi i że dorastające roczniki młodzieży są coraz słabsze liczebnie. Przyrost naturalny w Niemczech spadał bowiem aż do r. 1933, w którym zanotowano 971 tys. urodzeń, niewiele więcej niż w Polsce, mającej dwa razy mniej ludności. Przyrost zaczął się dopiero w r. 1934. Otóż te liczniejsze roczniki wejdą na arenę dopiero koło r. 1955. Aż do tego czasu Rzesza będzie odczuwać wielkie trudności na runku pracy tym bardziej, że i starsze roczniki zostały poważnie przerzedzone w dwóch wojnach światowych.

Co do pozostałych krajów europejskich, to niektóre (n.p. Szwecja) miały tak mały odsetek urodzeń, iż należy przewidywać zmniejszenie się ludności w niedalekiej przyszłości, inne zaś, jak Rosja, też ponoszą ogromne straty. Biorąc to wszystko pod uwagę, trzeba liczyć się z tym, że po wojnie obecnej ludność Europy będzie wzrastać jeszcze powolniej niż dotychczas. Wobec tego coraz trudniej będzie Europie bronić swej roli w świecie.

Obliczają, że w r. 1941 świat liczył okragło 2.200 milionów mieszkańców. W latach 1914–1941 ludność Europy wzrosła niewiele o 14 procent i osiągnęła cyfrę 537 mil. głów, natomiast ludność Azji wzrosła o 21 procent, a ludność obu Ameryk o 40 procent.

Co do Polski, to jej przyrost naturalny był przed r. 1939 wyższy niż całej Europy. Ale to nas nie może uspakajać tym bardziej, że już przed wojną obecną przyrost malał w szybkim tempie. To też i my musimy zwrócić baczną uwagę na zagadnienia demograficzne. **Karol Leskowiec.**

O PRYWILEJ DLA DZIECI W POLSCE

Pośród ogromu zadań, jakie czekają Polskę po zakończeniu działań wojennych, na jedno z pierwszych miejsc wysuną się zadania „Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej”. Nie chcę tutaj przesądzać organizacji naszych władz i ich zakresu działania, lecz tak mniej więcej powinna nazywać się centrala ratunkowa dla wyczerpanej śmiertelnie ludności Kraju, ślaniającej się z głodu i chorób. Już dziś odzywają się głosy, że konieczne będzie reaktywowanie ministerstwa zdrowia w państwie tak dużym, jak Polska, zwłaszcza po wojnie. Wielu zaś lekarzy wręcz utrzymuje, że opieka społeczna w zakresie lecznictwa powinna stanowić samodzielną komórkę, a nie podlegać kompetencjom Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Gdyby opiekę społeczną w przyszłej Polsce postawić na właściwej platformie — oddzielając ją od wszelkiego rodzaju z pracą związanych ubezpieczeń* i ograniczając tę opiekę tylko do pomocy dla

dzieci i dla osób zupełnie niezdolnych do pracy — to można śmiało połączyć agendy takiej opieki z agendami zdrowia w jedną uzupełniającą się całość. — Na takich założeniach oparty projekt, który chcę tu przedstawić, będzie trzeba realizować stopniowo, zakładając zgóry, że winno go wykonać powojenne pokolenie w ciągu 20 lub może 30 najbliższych lat, aby powstała solidna i trwała budowa.

W pierwszej chwili po uwolnieniu Kraju od okupanta będzie miało to nowe „Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej” kapitalne zadanie zmontowania i puszczenia w ruch potężnej maszyny doraźnej pomocy, jaką już teraz przygotowuje się na Zachodzie. Trzeba będzie dosłownie całą ludność Polski nakarmić i przyodziać, trzeba będzie dostarczyć jej lekarstw. Sprawa ta będzie niestety o tyle ułatwioną, że pauperyzująca Kraj polityka obu okupantów doprowadziła już teraz do zrównania pod względem nędzy wszystkich warstw społeczeństwa polskiego, głównie w ośrodkach miejskich. Niema bogatych i biednych, wszyscy są nędzarzami, potrzebującymi natychmiast pomocy.

W październiku 1942 r. spędziłem kilka tygodni w Lizbonie i miałem tam sposobność przeglądać kilka tysięcy

*) Przecież nie zamierzamy kultywować przekłętej pamięci bezrobocia, ani traktować też emerytów pracy, jako żyjących z łaski darmożiadów. Wprost przeciwnie: państwo weźmie na siebie obowiązek dostarczenia pracy obywatelom; emeryci zaś muszą być otoczeni szacunkiem, jako weterani w służbie dla państwa, którzy rzetelnie spełnili swój obowiązek i korzystają na równi z pracującymi z należnej im części dochodu społecznego. Przyszłe więc „Ministerstwo Pracy” winno obejmować ochronę pracy, ubezpieczenia z pracą związane oraz emerytury.

listów z Polski, skierowanych z prośbą o pomoc do międzynarodowych instytucji. Listy te były zupełnie świeżej daty (pomiędzy Rzeszą i Portugalią istnieje normalna konwencja pocztowa) i przeszły przez niemiecką cenzurę. Stanowiły one wstrząsającą lekturę, ukazując ponurą rzeczywistość z bardzo drastycznej strony: ze wszystkich tych prostych, niewymyślnych i nieozdobnych, a przez wzgląd na cenzurę suchych i surowych relacji z życia mieszkańców Polski, rozlegał się straszny, zdławiony krzyk: ginie z głodu. Nie było w nich ani cienia podkościelnego wycia o jałmużnę. Wprost przeciwnie, z każdego listu przemawiały pełne godności ludzkiej tytuły do wołania o pomoc z innego świata, niż ten, który tam z katastrofy wypłynął. "Mąż zabity", "mąż zginął", "mąż w niewoli", "mąż wywieziony", "syn-żywiciel nie żyje" — przewijało się jak czerwona nić przez wszystkie te skargi na okrutną niedolę. A równocześnie wszyscy niemal prosili, aby traktować udzieloną im pomoc tylko jako pożyczkę, którą oddadzą, którą odpracują, skoro nadejdzie zmiana. Przygniatająca zaś większość petentów, poza konającymi z głodu staruszkami bez opieki — prosiła o pomoc nie dla siebie, lecz dla swoich dzieci.

Z krótkich, ale wymownych określeń można było zdać sobie sprawę, jak te dzieci chorują, jak z dnia na dzień marnieją, jak brak im wszystkiego, co może nie tylko przywrócić im zdrowie, ale wprost uratować życie. Z opisów tych wylaniał się również popłoch serc macierzyńskich, całkiem bezradnych w tej sytuacji bez wyjścia, w której — zdawałoby się — chyba śmierć litościwa, albo cud mógłby odwrócić cierpienie od tych główek dziecięcych, jakie pozostały w nieszczęściu jedyną pociechą. (Akcja pomocy funkcjonowała zresztą i funkcjonuje z wielkim nasileniem, któż jednak zaspokoi potrzeby tylu głodnych milionów).

Ta dokumentarycznie stwierdzona prawda o tragedii młodego pokolenia polskiego kieruje uwagę na kolejne najpilniejsze zadanie owego "Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej". Będzie ono musiało objąć trwałą opiekę nad młodem pokoleniem wojennym, pewnie w ramach specjalnego departamentu. Doświadczenia pierwszej wojny światowej wykazały, jakie szkody przyniosła ta wojna zdrowiu społecznemu, a zwłaszcza zdrowiu dzieci. Gdy do poboru zaczęły po 20 latach stawać roczniki, urodzone tuż przed ową wojną lub w czasie jej trwania, liczba zdolnych do służby wojskowej spadła w zastraszający sposób. Spowodowała to nie tylko mniejsza liczba urodzeń, lecz przede wszystkim niedorozwój fizyczny, wywołany niedożywieniem. Wtedy to dopiero rządy przyszły po rozum do głowy, jaki błąd popełniły, zapomniawszy w rozgardjaszu powojennym o zdrowiu pokrzywdzonego przez wojnę młodego pokolenia. Szkoda była podwójna, bo kto nie jest zdolny do wojska, ten przeważnie i do pracy mniej się nadaje od człowieka o dobrej fizycznej kondycji.

* * *

Spróbuję tu naszkicować schemat trwałej opieki państwa nad młodym pokoleniem w Polsce. Sądzę bowiem, że ta sprawa musi być walenie załatwiona nie tylko w związku z tą straszną wojną. Wojna da wprawdzie bezpośrednią okazję do wtargnięcia w tę kwestię, lecz trzeba będzie sięgnąć do najgłębszych jej pokładów społecznych. Będąc dziennikarzem w jednym z największych miast polskich zetknąłem się w swej praktyce zawodowej z tym zagadnieniem i muszę powiedzieć ze smutkiem, że państwo przypominało sobie o istnieniu dzieci dopiero gdy miało je... zabrać do wojska!

Kto, za co i jak je wychował — o to się nie troszczono.

Były przeróżne papierowe dobrodziejstwa — jak n.p. zakaz maltretowania dzieci, zakaz pracy dla małoletnich, ustawa o synu-żywicielu rodziny. Lecz obchodziły one tylko całą sprawę naokoło, nie dotykając istotnej jej treści. A byli przecież biedacy — nie gdzieś tam o 100 km. od kolei, ale w tym właśnie wielkim mieście, którzy nie mogli dzieci posyłać do szkoły w mokrej i zimnej porze roku, bo nie było w domu ani jednej pary całych butów, ani ciepłego płaszcza. W jakich zaś mieszkali norach, jak marzli w zimie i jak głodowali przez długie miesiące bezrobocia! Kosztem jakich wyrzeczeń osobistych i rezygnacji ze wszelkiego uroku życia kulturalnego kształcili swe dzieci skromnie wynagradzani inteligenci. A jak mieli się uczyć mali chłopcy, których głód własny i często całej rodziny wypędzał na ulicę, każąc im chwycić się handlu ulicznego, kolporterki, albo żebractwa, maskowanego śpiewem lub rzekomym muzykowaniem. Jak mieli się uczyć zdolni, a niezamożni młodzieńcy ze wsi, z przedmieścia, albo z suteryn, gdy na koszt nauki trzeba było sprzedać ładnych kilka morgów najlepszej ziemi.

Te wszystkie pytania zostały już poza nami i nie powinny powrócić więcej jako rzecz aktualna. Zbyt są zawstydzające, by zaglądać im pod podszewkę. Mimo wysiłku i dobrej woli światłych czynników społecznych, patrzących głębiej w przyszłość, nie udało się zlikwidować w ubiegłym okresie niepodległości ani jednej zasadniczej przyczyny upośledzenia dzieci w Polsce. Dlatego przy fundowaniu nowej rzeczywistości po wojnie winniśmy jednym pociągnięciem naprawić ten błąd generalny i stworzyć przywilej prawny dla dzieci jako dla najcenniejszej własności i nadziei narodu.

* * *

Opieka państwa nad młodem pokoleniem powinna być integralna, a uregulowana specjalną ustawą. Wychowanie dzieci musi pozostać w ręku rodziców i szkoły, lecz państwo musi to wychowanie rodzicom realnie umożliwić. Akcja opiekuńcza stworzy takie ramy moralne i materialne, że dzieci w Polsce nie zaznają już głodu, ni poniewierki, że będą zdrowe, szczęśliwe i będą mogły wszystkie się uczyć. Wszak nasze dzieci mają też prawo być dziećmi, jak młode pokolenie krajów Zachodu, n.p. we Francji, gdzie przed wojną dzieci uczyniono opływającymi we wszystko "królewiczami". Wykonanie ustawy winno być powierzone "Ministerstwu Zdrowia i Opieki Społecznej", jako strażnikowi zdrowia społecznego i opiekunowi — nie z żadnej łaski, ale z obowiązku państwa wobec obywateli. To całe ministerstwo winno znajdować się w ręku nie urzędników, ale lekarzy oraz specjalnie wyszkolonego personelu w zakresie służby zdrowia i służby opiekuńczej. W jego zaś pracy w terenie musi być jak najmniej "urzędowania" i zabiegów administracyjnych, a maximum rzeczowych wysiłków. Praca ta musi polegać na pełnym wzajemnego zrozumienia i przyjaznym współdziałaniu pomiędzy państwowym czynnikiem społecznym, rodzicami i szkołą. Nie może być przy tym mowy o pretensjach do jakiejś dominacji ze strony organów ministerstwa nad domem.

Nikt w przyszłej Polsce nie powinien się lękać przyjscia na świat potomstwa. Dla wielu małżeństw w okresie po tamtej wojnie nawet już pierwsze dziecko było widmem kryzysu w budzącej rodzinny, a cóż dopiero dalsze. Ludzie liczyli się z niepewnością egzystencji, z bezrobociem, z obcinaniem zarobków. Czuli pewnego rodzaju wyrzuty sumienia w stosunku do żyjących już dzieci. Poza zakazem przerwania ciąży i poza prymitywną pomocą w okresie rozwiązania nie było żadnej zorganizowanej polityki populacyjnej.

Skrupuły religijne często ustępowały pod naporem bezwzględnej materialnej rzeczywistości.

Opieka ministerstwa będzie musiała objąć matki już od początku ciąży. Z jednej strony kwestia higieny i odżywiania się kobiety w tym okresie, z drugiej konieczność przygotowania jej do doniosłej roli pielęgniarki i wychowawczyni dziecka — wszystko to skłania do dość wczesnego wciągnięcia matek w ten świat kobiecych przeznaczeń. Wszystkie one będą musiały przechodzić obowiązkowe kursy praktyczne, nieustannie organizowane w ośrodkach macierzyńskich, które będą organami lokalnymi ministerstwa w każdej miejscowości. Można przypuszczać, że projektowane tu formy organizowanego podejścia do tych spraw najdelikatniejszej natury, spotkają się z początku z pewnym wewnętrznym oporem u naszych kobiet. Dotąd załatwiano się te rzeczy "na ucho" w sposób zacofany, korzystając z "życzliwych" podszeptów wszystko wiedzących i drogo każących się opłacać fuszerek. Napewno jednak ośrodki macierzyńskie — z poradniami lekarskimi, z kursami, z wzorowymi żłóbkami dla dzieci kobiet pracujących, ze składnicami lekarstw i mleka — staną się wkrótce najważniejszymi obok ratusza lub domu gminnego i cenionymi przez kobiety ogniskami polskiego życia zbiorowego. Może się staną pochodniami uświadczenia populacyjnego dla całego narodu i źródłem fizycznego renesansu po wojnie.

* * *

Naturalnie u podstaw racjonalnej akcji opiekuńczej musi się znaleźć rozumne postawienie kwestii finansowej. Każda kobieta w ciąży, nie dysponująca pewnym minimum budżetowym musi dostawać w drodze ustawowej wystarczający dodatek na utrzymanie organizmu w dobrej formie. Każda zaś rodzina, mająca dzieci, a nie osiągnąca pewnego minimum zarobków, musi na mocy tejże ustawy pobierać wystarczające wyrównanie, by zapewnić dzieciom egzystencję w granicach przewidzianej normy, przyjętej przez państwo za podstawę.

Zdawałoby się w pierwszej chwili, iż byłoby to zobowiązanie ponad siły naszego kraju, który wyjdzie z tej wojny niezmiernie wyniszczony. Przypatrzmy się jednak bliżej sprawie. Jednym z naczelných obowiązków państwa po objęciu znów władzy w Polsce będzie — obok wprowadzenia porządku wewnątrz i zapewnienia bezpieczeństwa od zewnątrz — uruchomienie wszystkich możliwych warsztatów pracy. Wszyscy będą musieli dostać pracę. Będzie to konieczność zarówno społeczna, jak polityczna, najlepsze antidotum przeciw niepożądanym wstrząsom i trudnościom wewnętrznym. Ale nie tylko wszyscy będą musieli dostać pracę, będą musieli też dostać wystarczające zarobki. Nie jest to żaden romantyzm, ani utopia — ale poprostu inaczej stać się nie może. Od tego znowu bowiem będzie zależał nasz spokój domowy i możność solidnego urzędnictwa się w domu. (Sprawiedliwość społeczna musi wejść w życie od pierwszego dnia odzyskania Kraju, a wyzysk pracy musi być wogóle wykreślony z naszego słownika!) Każdy więc Polak, każda rodzina otrzyma w zasadzie godziwą egzystencję. W ten sposób projektowane dodatki pieniężne dla przyszłych matek i dodatki pieniężne dla dzieci będą raczej wyjątkowym lub przejściowym uzupełnieniem budżetu rodzinnego, dopóki nie stanie on się realny, t.j. dopóki nie zrówna się sam przez się (bez dodatków) z minimum zarobkowym w państwie.

Tak postawiona kwestia nie sprowadzi bynajmniej do fikcji pomocy dla młodego pokolenia; postawi tylko tę

pomoc na platformie świadczeń pośrednich, napewno korzystniejszych, niż bezpośrednie finansowanie. Nauka będzie bezpłatna we wszystkich szkołach. Uczniowie będą otrzymywali wszystkie pomoce szkolne (książki, zeszyty i t.p.) jak również dożywianie. (Dzieci w wieku przedszkolnym powinny na mocy ustawy dostawać codziennie mleko oraz cukier i kakao). Całe zaś młode pokolenie będzie pod stałą, bezpłatną opieką lekarską, przy czym obowiązkowe będą częste badania okresowe. Te wszystkie koszty napewno się państwu opłacą!

* * *

Naprawdę doniosłą misję będą miały do spełnienia instruktorki pielęgnowania i wychowania dzieci. Będą one musiały stać się dobrymi duchami rodzin, a każda ich wizyta musi być błogosławieństwem dla matek. Poza gruntowną wiedzę fachową będą musiały wnosić do domów ciepło serdecznego uczucia, które obejmuje zarówno drobne kłopoty codzienne, jak dramatyczne konflikty. Nie będą te instruktorki miały w sobie nic biurokratek, nic z kaznodziejek, a będą z matkami rozmawiać i matkom pomagać, jak ich najlepsze, bezinteresowne koleżanki. Jako docierające do samego miąższu życia czujki "Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej" muszą wytworzyć atmosferę, sprzyjającą przyjęciu się tych wszystkich innowacji, które pomyślnie zmodernizują nasze życia rodzinne, wysuwając na pierwsze miejsce troskę o szczęście młodego pokolenia. Te zwiastunki nowego ducha w naszym wychowaniu narodowym muszą w praktyce wywalczyć uprzywilejowane stanowisko dla dzieci w Polsce. Może będzie to nawet daleko trudniej, aniżeli się zdaje. Nie wystarczy bowiem ludziom dać to, czego nie mieli — trzeba ich także nauczyć z tego korzystać!

Dla dzieci w wieku przedszkolnym, muszą powstać w wystarczającej liczbie ochronki, przedszkola, ogródki i zielonice. Dla dzieci w wieku szkolnym stołownie, kina szkolne, internaty, kolonie wakacyjne, obozy letnie, domy wycieczkowe. Dla dzieci nie należy niczego żałować, dzieci powinny jak najwięcej poznać i zobaczyć. Zarówno ich ciało, jak umysł winny być harmonijnie rozwijane we wszystkich kierunkach. Dlatego powinno się je często prowadzić do prawdziwego teatru, na wielkie wystawy, na głośne imprezy sportowe. Dzieci w wieku szkolnym powinny zwiedzić pociągami wycieczkowymi osobiowości kraju!

Nie zagłębiam się w szczegóły, których przy budowie projektowanego systemu nastroczy się bez liku. Nie dotykam tu opieki nad sierotami bez obojga rodziców, co musi być osobno załatwione. Nie dotykam też wychowania szkolnego, które stanowi całkiem odrębną dziedzinę. Muszę tu tylko dodać, że opieka państwa musi trwać tak długo, dopóki dziecko nie opuści szkół i nie zostanie wciągnięte do szeregu samodzielnych pracowników, którzy zarabiają na siebie. Na marginesie wspomnę, że opieka nad młodym pokoleniem będzie wymagała dużej ilości pracowników i specjalnego szkolnictwa zawodowego. Lecz będzie to zjawisko korzystne w naszym życiu społecznym, gdyż ta jego strona znajdzie się na prawdziwie wysokim poziomie i dzięki masowym doświadczeniom uzyska szybko naukowe podstawy. Na koniec wreszcie dodam, iż ze wszystkich ministerstw będzie "Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej" z natury rzeczy najmniej politycznym, a najwięcej fachowym ministerstwem. Jego zaś praca dla młodego pokolenia może otworzyć w życiu Polski nową epokę.

K.B.

DEMOKRACJA CHRZEŚCIJAŃSKA

Rządna demokracja, zgodnie z nauką o pochodzeniu władzy, różni się zasadniczo zarówno od tłumowładztwa (ochłokracja), jak i od koncepcji, upatrującej źródło wszechwładzy w Parlamencie. Rządna demokracja oparta jest o zasadę podziału władz, a mianowicie władzy ustawodawczej i kontrolnej, władzy wykonawczej i administracyjnej, oraz władzy sądowej. Dlatego też Głowa Państwa, Parlament i sądownictwo są w rządnej demokracji władzami od siebie niezależnymi, za wyjątkiem kontroli Parlamentu nad powoływaniem przez Głowę Państwa rządem. (Rząd jest zatem odpowiedzialny przed Parlamentem nie będąc jednak jego organem wykonawczym).

Jakkolwiek bądź, w Parlamencie decyduje większość. W przeciwieństwie jednak do ochłokracji, większość ta bywa, zależnie zresztą od ordynacji wyborczej, terminu kadencji itd., niekiedy bardzo różną od opinii, jaką wyraziłyby niezorganizowane masy w danej chwili. "Opinia" t. zw. ulicy, rezolucje "wielców," artykuły prasowe itp. odruchy mogą być interesującym sprawdzianem nastrojów części społeczeństwa. W demokratycznym społeczeństwie nie są to jednak wyrazy woli narodu. Znaczenie ich jest bardzo względne. Wybrańcy narodu winni lepiej wiedzieć, mając więcej danych ku temu od jego mas. Niektóre konstytucje przewidują w niektórych wypadkach plebiscyty o charakterze konkretnych ankiet; inne przewidują kwalifikowane większości.

Różne ostatnio były próby reformy parlamentaryzmu. Jedne miały na celu bardziej bezpośrednie łączenie posłów z wyborcami, inne dążyły do uniezależnienia członków Parlamentu od przymusu stałego głosowania, dyrektyw organizacji partyjnych czy zawodowych. Organizacje te bowiem stały się z konieczności instancją pomiędzy społeczeństwem, a jego przedstawicielami demokratycznymi. Rozproszkowanie społeczeństwa byłoby wszak gorszym złem od przerostów organizacyjnych.

Na ogół "hamulce" parlamentarne wynikają tak czy inaczej z naturalnej reakcji samozachowawczej społeczeństwa przeciwko niebezpieczeństwu nieprzemyślnych i przypadkowych większości. Ukoronowaniem tych reakcji stał się system dwuizbowy, przyjęty dziś we wszystkich istotnych demokracjach i przewidujący odmienny klucz wyborczy dla izby wyższej. Autorytet tych izb wyższych z czasem wszędzie wzrastał. Demokracja brytyjska nie gorszy się nawet posiadaniem w izbie wyższej olbrzymiej ilości członków dziedzicznych.

W Polsce padły swego czasu słowa historyczne protestu przeciw uleganiu chwilowym nastrojom większości, idącym po linii emocjonalnego entuzjazmu, a nie chłodnej racji stanu. Lew Sapieha w Sejmie tak oto napiętnował politykę podtrzymania Dymitra Samozwańca: "Większość to głupstwo, rozum bywał zawsze tylko u niewielu."

Po linii przeciwdziałania opinii większości na rzecz racji stanu szły "reformy" Piłsudskiego, zainicjowane przewrotem majowym. Ale to były głosy niewiary we własny naród.

Jako przekonani zwolennicy demokracji nie możemy więc i nie chcemy iść po linii takiego rozumowania. My katolicy kierujemy się wskazówkami wielkich encyklik i katolickiego kodeksu społecznego, jesteśmy zwolennikami ustroju opartego o rządą demokrację naprawdę narodową, a więc zapewniającą silne rządy tych, którzy posiadają zaufanie narodu.

Przeciwko woli narodu, prawnie wyrażonej, nikomu rządzić nie wolno, nawet gdyby racja stanu wyrazem tej woli zdawałaby się być poważnie zagrożoną. W żadnym jednak wypadku nie wolno rządowi ulegać presji z. zw. "ulicy," czy nawet silnych organizacji i odłamów, jeżeli ciała, prawnie powołane do reprezentacji narodu, tej presji się przeciwstawiają. Obalenie prawowitej władzy demokratycznej drogą spisku i buntu z natury rzeczy prowadzi do dyktatury, obojętnie czy "reakcyjnej" czy "rewolucyjnej."

W czasie wojny oczywiście wszelkie przesilenia rządowe są nie pożądane i szkodliwe. Rząd, kierujący krajem w okresie najazdu, wienien stać jak żołnierz na posterunku. Najlepiej wówczas powołać rządy jedności narodowej. W Polsce 1 września 1939 r. cały naród stanął za zwalczanym powszechnie rządem. Przesilenia w czasie wojny są dopuszczalne tylko w wyniku cofnięcia na drodze, prawem przewidzianej, mandatu, udzielonego rządowi w imieniu narodu. W przeciwnym razie Rząd jest obowiązany mandat swój spełnić do końca. Mandat taki jest równoznaczny co najmniej z obroną integralności państwa. Tyczy się to tym bardziej tragicznej okoliczności, kiedy rząd znajdzie się na obczyźnie z powodu inwazji własnego Kraju i może z nim się komunikować jedynie drogą "podziemną". Należy wówczas, z chrześcijańskiego punktu widzenia prawnego, stać na stanowisku, że rządowi wolno oddać swój mandat do dyspozycji narodu dopiero po umożliwieniu swobodnego i konstytucyjnego wyrażenia się jego woli. W żadnym wypadku nie wolno ulegać mu rozstrajającym wpływom psychiki emigracyjnej, mającej zawsze i wszędzie tendencje psychozy. Nie wolno mu kierować się nastrojami nie mającymi nic wspólnego z wolą narodu. Jest to zadanie bardzo ciężkie, wymagające głębokiej wiary, chrześcijańskiego sumienia i stanowczej woli.

Jest natomiast obowiązkiem każdego prawego obywatela Rząd prawowity w takiej sytuacji popierać i wspomagać bezwzględnie chociażby siły społeczne, w Rządzie tym reprezentowane, nie obejmowały wszystkich poszczególnych kierunków.

Doskonałe przykłady karność politycznej znajdujemy z jednej strony w W. Brytanii, z drugiej w Ameryce.

Adam Romer.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Zdanie, że wojna jest czynnikiem polityki — stwierdza się obecnie nawet w zależności od działań na froncie, to znaczy operacji strategicznych polegających na przesunięciach frontu więcej na zachód lub więcej na wschód. Oczywiście, tak być nie powinno — gdyż wojna obecna toczy się o ogromne cele moralne. Jeżeli te cele odrodzenia etycznego całej polityki zarówno poszczególnych państw jak i polityki międzynarodowej nie miałyby się zrealizować — to wszystko, co się dzieje, stanowiłoby jakiś niesamowity koszmar, byłoby upiorną bzdurą i nastroj świata możnaby było porównać do nastroju samobójcy bezpośrednio przed strzałem w skroń. Jeżeli miliony ludzi znosi najstraszniejszą nędzę, jeżeli wznoszą się ku niebu ze straszną skargą kikuty

domów Warszawy, Rotterdamu, Belgradu i Coventry — to do przetrwania całego ogromu potworności chwili obecnej przyczynia się nadzieja, że te ofiary nie będą daremne, że walka toczy się rzeczywiście o sprawiedliwość, o prawo, o stosunek narodu do narodu, któryby był oparty na elementarnym poszanowaniu przyzwoitości politycznej. Wierzmy głęboko, że to nastąpi, gdyż wierzymy w ludzkość i jej moralny postęp. I dlatego te zależności nastrojów politycznych od wydarzeń na froncie — notujemy tylko z obowiązku, zbytnio się nimi nie przejmując.

Mimo to jednak, z dużą przykrością stwierdzamy fakt, że tak boleśnie nas dotykające noty sowieckie zbiegały się z największym postępem wojsk rosyjskich między Wołgą a Donem. Myśl

polityczna powinna obejmować dalekie horyzonty. Byliśmy przekonani, że największe w historii zagrożenie Rosji przez Niemcy, śmiertelnego wroga Polski — stanie się punktem zwrotnym w dziejach stosunków polsko-rosyjskich. W dalszym ciągu podtrzymujemy tezę, że stworzenie silnej Polski leży przede wszystkim w interesie Rosji, że sfederowane państwa zachodnio-słowiańskie stanowią naturalną zasłonę dla Moskwy przed napadami Niemców, które z pewnością będą się powtarzały w historii. Natomiast tworzenie jakiegokolwiek irydydynty może być tylko zarzewiem niezgody i ustawicznych konfliktów między dwoma narodami; wyjdzie to na korzyść tylko Niemcom. Najprostsze prawdy polityczne są, niestety, zwykle najtrudniejsze do zrozumienia. Sprowadza się sztucznie do wspólnego mianownika koncepcyj ustrojowych — jakkolwiek w tym mianowniku bynajmniej się one nie mieszczą.

Radio sowieckie reklamuje wciąż „wolność Ukraińców i Białorusinów” oraz ich niechęć do rządów „panów polskich.” Tak nie jest. Ale gdyby nawet można było przyjąć, że ta niechęć rzeczywiście istnieje — to należałoby wysunąć zaraz inny problem. Mianowicie, czy owi „Ukraińcy i Białorusini” rzeczywiście tak silnie pragną znaleźć się w ramach związku sowieckiego? Jest rzeczą ogólnie znaną, że z tym zagadnieniem były w Moskwie poważne kłopoty, że we wrogim nastawieniu tej ludności do Rosji zorientowano się na Kremlu wprawdzie późno — *ale zato bardzo dokładnie*. Wiadomo, że sympatie ukraińskie idą w zupełnie innym kierunku jak wschodni. Mimo to, propaganda sowiecka szermuje tym zagadnieniem bardzo ostro i z wielką pewnością siebie, licząc oczywiście na zupełny brak znajomości spraw środkowo-wschodniej Europy na Zachodzie.

Stanowisko Polski zostało sprecyzowane bardzo dokładnie w dwóch ostatnich wypowiedzeniach premiera Sikorskiego: chcemy i dążymy do najlepszych stosunków z Rosją, daliśmy tego dowody poprostu bez precedensu w stosunkach międzynarodowych. Ale stoimy i będziemy stali na gruncie integralności terytorium polskiego, gdyż to jest naszym nietylko elementarnym prawem, ale i obowiązkiem zarówno względem Polski, jak i całego świata: okrojenie państwa, które pierwsze stawilo czoło całej potędze niemieckiej byłoby nietylko zbrodnią, ale i błędem, ale i absurdem politycznym, któryby na bezpieczeństwie całej Europy ogromnie się pomścił.

NA WSCHODZIE

Operacje wojenne na wschodnim froncie uległy pewnemu zastojowi, ze względu na roztopy wiosenne. Zamknął się rozdział historii działań zimowych w 1943 roku. Pozwala to ocenić w najogólniejszych zarysach ich przebieg i wysnuć pewne prognozy na przyszłość.

Zima na froncie wschodnim jest okresem ofensywnych działań rosyjskich. Na fakt ten składa się kilka przyczyn, z których najważniejszymi są:

- 1) *Trudności zaopatrzenia armii niemieckiej na całym olbrzymim froncie, wynikłe z niemożności wykorzystania w zimie wszystkich dróg dowozowych.*

Sprawozdawcy wojskowi szwajcarscy — jedni z najbardziej fachowych znawców wojny nowoczesnej — zwracali uwagę, że armię niemiecką zaopatrują w czasie zimy tylko trzy szlaki komunikacyjne. Reszta, z powodu fatalnego stanu dróg — jest nie do użycia. Na południu jedna tylko linia kolejowa biegnie równoleżnikowo. Inne są południkowe — a na skutek łatwych i ustawicznych bombardowań lotniczych, ruch transportowy był tam ogromnie utrudniony.

- 2) *Trudność wykorzystania w czasie zimy przewagi technicznego sprzętu niemieckiego.*

Czołgi i parki artyleryjskie, oddalające się od szlaków dowozowych, grzęzły w śniegu, spóźniały się o kilka dni, lub nie dochodziły wcale na miejsce przeznaczenia. Z tego powodu tak fatalnie zaciążył brak szybkich dywizyj pancernych niemieckich w okresie działań pod Satlingradem.

- 3) *Brak rezerw niemieckich, na co i w naszych przeglądach zwracaliśmy stale uwagę.*

Sytuacja niemiecka na froncie wschodnim była niejednokrotnie w ciągu ubiegłej zimy bardzo groźna, niemal rozpaczliwa. Klęski, które Niemcy ponieśli na froncie wschodnim — były b. poważne. Gdyby ofensywne działania rosyjskie w Zagłębiu Donieckim nastąpiły wcześniej — to skutki naporu wojsk sowieckich mogłyby pociągnąć za sobą katastrofę całej armii niemieckiej. Pod tym względem zgodna jest opinia sprawozdawców neutralnych-szwajcarskich i szwedzkich. Ta katastrofa nie nastąpiła — a przyczyn należy szukać na innej płaszczyźnie, mianowicie w trudnościach technicznych armii rosyjskiej. Na te trudności złożyły się:

- 1) *Okupacja połowy europejskiego terenu Rosji przez Niemcy — i to terytorium wybitnie uprzemysłowione i gęsto zaludnione.*

Obszar wschodni, zajęty przez Niemcy (naturalnie nie licząc obszaru Rzeczypospolitej) — liczy 56,6 milionów ludności. Najoptimistyczniej obliczając, Rosjanie zdolali zmobilizować tam pięć do dziesięciu roczników. Obok okręgu moskiewskiego i leningradzkiego — okręgi ukraińskie posiadają najinteligentniejszy elemnet zarówno robotniczy jak i żołnierski. Ilość ludzi zdolnych do pracy na tym terenie obliczają Niemcy na 26,6 milionów. Pod wpływem i terroru i konieczności życiowych, ludność ta pracuje dla Niemiec.

- 2) *Trudności aprowizacyjne Rosji.*

Ukraina była zawsze spichlerzem olbrzymiego imperium. Już na początku 1942 braki żywnościowe dawały się bardzo poważnie odczuwać w Rosji; gospodarka planowa (jak np. wykorzystywanie terenów turkietańskich przede wszystkim do plantacji bawełny i td.) nie ułatwiła rozwiązania tego problemu.

- 3) *Trudności w przeprowadzaniu mobilizacji.*

W niektórych obszarach azjatyckich — na południowym — wschodzie i na północ od kolei syberyjskich — wogóle mobilizacji nie przeprowadzano, nie powoływano zupełnie do wojska. Pod wpływem konieczności wojennych zaczęto przeprowadzać tam pobór — ale problem ten jest i bardzo trudny i bardzo

LUND HUMPHRIES MODERN LANGUAGE

READERS

RUSSIAN POLISH MODERN GREEK
Crown 8vo. Each Vol. about 104 pp. 6/- net. Bound full cloth

CHINESE READER

National Language and
GUIDE TO CONVERSATION

Demy 8vo. 200 pp. 15/- net. Bound full cloth

RUSSIAN GRAMMAR AND SELF-EDUCATOR

By LUIS SEGAL, M.A.

Russian-English and English-Russian Vocabulary

Crown 8vo. 242 pp. 7/6 net.

RUSSIAN-ENGLISH DICTIONARY

New Orthography

Edited by LUIS SEGAL, M.A.

Crown 4to. 978 pp. Bound full cloth 42/-

PERCY LUND HUMPHRIES & Co., LTD.
12 BEDFORD SQUARE LONDON, W.C.1

skomplikowany. Jeżeli się przytym odliczy t.z. "obozy pracy" w których przeprowadzanie mobilizacji jest z innych powodów ryzykowne — będziemy mieli obraz mobilizacyjnych trudności rosyjskich, które są bez porównania większe, aniżeli w Niemczech. Przyzwyczajono się do bezkrytycznego szermowania tezą o "niewyczerpanych zasobach mobilizacyjnych Rosji." Tymczasem w praktyce zagadnienie przedstawia się inaczej — i nawet niekorzystnie.

4) Trudności przemysłowo-wojenne.

Dzięki ogromnym staraniom przyspieszono rozkręcenie t.z. "piatiletki uralskiej" — ale mimo to, Rosja zdana jest w poważnej mierze ciągle jeszcze na dostawy angielskie i amerykańskie. Transporty te, ze względu na ogromną odległość i działalność łodzi podwodnych — są z natury rzeczy bardzo utrudnione. Ponadto, należyte zapoznanie się z nowym sprzętem nie należy do zagadnień, w wytwarzających się warunkach mobilizacyjnych — do najłatwiejszych.

Wnioski, płynące z tych zestawień, są proste: o ile pora zimowa jest korzystna dla działań ofensywnych rosyjskich — o tyle wiosna i lato gra na korzyść Niemiec. Wprawdzie straty niemieckie były olbrzymie i wydawało się, że zdolność ofensywna Niemiec została załamana — to jednakowoż przetrzymanie, również wbrew zupełnie logicznym obliczeniom rosyjskim, najcięższego okresu — stwarza dla armii niemieckiej nowe możliwości na Wschodzie, tym bardziej, że według obliczeń niemieckich, ilość ludzi zdolnych do pracy na rzecz Niemiec — wynosi, wraz z państwami zaprzyjaźnionymi z osią — 168,3 miliony. Oczywiście, cyfra ta, jako pochodząca ze źródeł niemieckich, jest napewno przesadzona — niemniej jednak potencjał przemysłowy niemiecki jest wciąż jeszcze olbrzymi. Tylekrotnie wypowiedzane twierdzenie, że Niemcy są wrogiem nr. 1 — nie straciło nic ze swej aktualności.

LIKWIDACJA ROMMLA.

Dlatego też, zarówno W. Brytania jak i Stany Zjednoczone, przygotowują się do rozgrywki z Trzecią Rzeszą niezależnie od wypadków na Wschodzie. Plan działań anglo-amerykańskich zarysowuje się bardzo wyraźnie. Pierwszym etapem jest dążenie do opanowania najważniejszego szlaku komunikacyjnego z Bliskim i Dalekim Wschodem — *to jest basenu Morza Śródziemnego*. Następnie dążenie do opanowania, względnie oderwania od Trzeciej Rzeszy Włoch.

Propaganda sowiecka zorganizowana jest doskonale, natomiast Anglicy nawet w okresie wojny nie mogą pokonać wrodzonego wstrętu do propagowania własnego wysiłku. Dlatego też o Stalingradzie mówiono i pisano o wiele więcej, aniżeli o wysiłku, jakiego W. Brytania dokonała w Afryce. Miara jego jest chociażby fakt, że o ile Niemcy i Włosi mogli przerzucać wojska do Afryki w przeciągu kilkunastu godzin, to transport dywizji brytyjskich, naokoło Afryki, trwał często i dwa miesiące. A trzeba było dowozić wszystko — począwszy od amunicji a skończywszy na puszkach konserw. Trudności te pokonano, armia brytyjsko-amerykańska góruje nad wojskami osi i pod względem jakości sprzętu i o ile chodzi o zagadnienia aprowizacyjne. Sukces strategiczny, odniesiony przez dowództwo brytyjskie jest olbrzymi, gdyż armie Rummla groziły w lecie 1942 bezpośrednio Aleksandrii, a pośrednio linii Kanału Sueskiego, Palestynie, Irakowi. Dzisiaj dywizje pancerne angielskie, wojska francuskie i amerykańskie — zdobywają ten przedpokój Włoch, jakim, z racji swego położenia geograficznego, jest Tunisja.

Walki na terenie tuniskim trwały długo. Prasa niemiecka zaczęła już nawet pisać o "załamaniu się impetu brytyjskiego" o "słabości armii amerykańskiej" i t.d. Tymczasem pewne zwolnienie tempa w ofensywie anglo-amerykańskiej było rzeczą

naturalną i zupełnie zrozumiałą jeżeli się weźmie pod uwagę dwa czynniki:

1). Olbrzymi marsz dywizji gen. Montgomery — od bram Aleksandrii aż po granicę Tunisu: odległość większa, aniżeli między Warszawą a Londynem.

2). Trudności terenowe w Tunisji.

Są one bardzo wielkie. Słynna linia Mareth stanowi zaporę naturalną — pasmo skał ciągnących się w kierunku południkowym — zwiększoną jeszcze przez starannie budowane fortyfikacje. Obejście tej linii było niezwykle trudne ze względu na jeziora słone — woda stanowi najlepszą zaporę przeciwczołgową — oraz wydmy pustynne piaskowe, jeszcze dalej na południu. Druga taka linia znajdowała się pod Wada Akarit, na północ od Gabes. Walki na linii Mareth były bardzo ciężkie, trzeba było kruszyć przedpola ogniem artyleryjskim, niszczyć betonowe umocnienia akcją lotniczą. Wszystko to składało się na zadania trudne, wymagające długiego czasu.

Od Zachodu bronią Tunisji pasma skalistych wzgórz — co więcej, broni pustynia. Nie wolno zapominać o tym, że dywizje amerykańskie i francuskie, operujące od strony Gafsy, Maknassy i Pichon, miały za sobą *pustynię*, dziesiątki kilometrów bez wody, co oczywiście utrudnia w olbrzymim stopniu jakąkolwiek akcję bojową. Punktem zaopatrzenia dla tych oddziałów były dwie oazy, Biskra i El Kantara, obie bardzo odległe i stanowiące bardzo prowizoryczne ośrodki etapowe.

Niemcy zdolali przerzucić przez wąską cieśninę między Tunisiem a Sycylią — 250.000 najlepszego żołnierza, świetnie zaopatrzone dywizje pancerne. Odległość wybrzeża tuniskiego od Sycylii wynosi tylko około 150 kilometrów, w dodatku na połowie drogi znajduje się doskonale ufortyfikowana baza osi, wyspa Pantellaria. Akcja floty brytyjskiej była bardzo wydatna i przyczyniała się wraz z RAF'em do niszczenia transportów nieprzyjacielskich — ale pamiętać trzeba, że admiralica ma do obrony niemal wszystkie morza i Oceany Świata, że koncentrowanie nawet większych sił na jednym odcinku — było niemożliwością. Niemcy, podobnie jak w pierwszej wojnie światowej, wyzyskali z całą precyzją swe doskonałe położenie centralne, pozwalające na całkowitą swobodę manewru, podczas, gdy manewr anglo-amerykański był bardzo trudny. Powodzenie akcji w Tunisie i w ogóle sukcesy afrykańskie — są wspaniałym dowodem tego wysokiego poziomu bojowego, na który w tak krótkim przeciągu czasu zdołała się wnieść armia brytyjska.

W PRZEDEDNIU ATAKU NA WŁOCHY...

Ambasador włoski w Berlinie, Dino Alfieri, zażądał jaknajwcześniejszego spotkania się Hitlera z Mussolinim, na przełęczu Brenneru. Oficjalny speaker radiowy włoski, Mario Appellius, wystosował rozpaczliwą odezwę do narodu, w której stwierdza, że "ojczyzna znajduje się w niebezpieczeństwie, a armie anglo-amerykańskie przygotowują się do inwazji na kontynent od strony południowych Włoch. Chwila największej próby — zbliża się szybko".

Wszystkie stacje radiowe, cała prasa, nawołują do "bohaterskiego oporu". Nawoływania te spotykają się z apatią ludności — i rząd faszystowski stara się ratować własną pozycję, oddając kierownictwo obrony całego półwyspu — w ręce niemieckie. Naczelne dowództwo całej floty śródziemnomorskiej osi (to znaczy w praktyce floty włoskiej) — obejmuje admirał niemiecki *Fricke*. Jego zastępcą jest *Carlo Bergamini*, słynący nie tyle ze swych zdolności admirałskich, ile z całkowitego podporządkowania się wszystkim rozkazom niemieckim. Jest to najbardziej pronazistowski oficer w marynarce włoskiej. Siły powietrzne osi na terenie włoskim są podporządkowane marszałkowi *von Kesselring*. Insektorat fortyfikacyjny — główny nadzór nad obroną wybrze-

za obejmuje niemiecki generał-porucznik *Jacob*. Do Włoch zostali już skierowani najwybitniejsi specjaliści w dziedzinie robót fortyfikacyjnych. Pozatym pcha się tam ciągle artylerię i Luftwaffe. Drugi front istnieje, co więcej, same przygotowania do jego obrony odcinają bardzo poważne siły niemieckie, przede wszystkim lotnictwo, artylerię i oddziały techniczne najcenniejszy element w tej wojnie.

Co więcej. Niemcy muszą na gwałt fortyfikować wybrzeże bałkańskie. Wizyta króla Borysa w Bertchsgaden miała na celu skłonienie dowództwa niemieckiego do natychmiastowego fortyfikowania Warny i Burgaz. Postawa Turcji wzbudza w Sofii niepokój. Nie wiadomo, gdzie skieruje się uderzenie Sprzymierzonych — i tu mamy do czynienia z odwrotną stroną medalu zaborów niemieckich: trzeba utrzymywać w posłuchu nie tylko ogromne tereny — ale również chronić linię wybrzeża, niesłychanie wydłużoną.

O tym wszystkim wiedzą w Rzymie — i nie ulega wątpliwości, że zdecydowana większość społeczeństwa włoskiego wycofałaby się z całej awantury. Faszystom przegrał z kretelem kartę włoską, poddał kraj Niemcom, zniszczył cały prestiż Italii — a teraz broni kurczowo swej własnej pozycji. Jest to ucieczka w przepaść przed własnym społeczeństwem, przed karą, za fatalną politykę zagraniczną i wpędzenie Włoch w najbardziej niepopularną i bezsensowną wojnę. Nastroje społeczeństwa włoskiego są znane w Palazzo Venezia — ale Mussolini zabrnął za daleko i cofnąć się już nie może. Zmiana rządu jest trudna do pomyślenia, gdyż zbyt wielu ludzi połączyło nie tylko swe kariery, ale i swe pospolite zbrodnie z panującym reżimem. Nikogo kto by mógł w partii wystąpić przeciwko dyktatorowi niema. Dwór królewski jest słaby — pozatym dobrze strzeżony. Rewolucję od dołu wywołać jest w dzisiejszych czasach nie łatwo. Włochy do pewnego czasu będą trwały w obroży niemieckiej — ale współpraca ta będzie najprawdopodobniej coraz bierniejsza. Już dzisiaj setki tysięcy ulotek prasy podziemnej wzywa do „niestawienia oporu wojskom sprzymierzonym.” Obecność wojsk amerykańskich w Afryce może te nastroje antyrządowe tylko

pogłębić. Emigracja włoska do Stanów Zjednoczonych była silna, popularność Ameryki jest w ludowych masach włoskich bardzo wielka. La Guardia, burmistrz Nowego Jorku jest na półwyspie apenińskim o wiele bardziej popularny aniżeli Il Duce. Wielki naród instynktownie stara się odnaleźć swą drogę, swe posłannictwo i rolę w kulturze europejskiej. W interesie chrześcijaństwa, w interesie Europy należy życzyć aby stało się to jak najszybciej.

TRZEJ WĄTPLIWI SPRZYMIERZENCY . . .

Do prasy brytyjskiej przeniknęły pewne niedyskrecje. Mianowicie o staraniach podejmowanych przez Bułgarię, Rumunię oraz Węgry o nawiązanie kontaktu ze Sprzymierzonymi. Kontakt ten ma nawiązywać się przez Turcję. Oczywiście bliższych szczegółów brak — ale sam fakt szukania nowych dróg przez państwa bałkańskie i Węgry — które były zmuszone do pójścia z Niemcami — jest bardzo charakterystyczny. Gmach „Mitteleuropy” który miał, wraz z całym nazizmem przetrwać 1000 lat, zaczyna się walić w gruzy już po trzech latach wątpliwej współpracy. Rozmowy czy też próby rozmów wywołują zrozumiałe zaniepokojenie w Berlinie. Dlatego też Niemcy podejmują gigantyczny wysiłek, aby utrzymać w swej obręczy Włochy. Gdyby Rzym ogłosił neutralność i wycofał się z wojny, wszystko jedno czy to pod wpływem bombardowań południowych Włoch czy też przeobrażeń wewnętrznych — ani Węgier, ani Rumunii, ani nawet Bułgarii nie dałoby się w obozie niemieckim dłużej utrzymać. A możliwość oderwania tych państw od Niemiec miałaby olbrzymie znaczenie polityczne, mogłaby wpłynąć decydująco na los nie tylko wojny, ale ukształtowania stosunków powojennych.

Izolowanych wypadków nie zna najnowsza historia Europy. Wydarzenia na linii Mareth, na dalekich piaskach Sahary — znajdują echo w pusztach węgierskich i w rumuńskiej delecie Dunaju. Dlatego z tak wielką uwagą śledziliśmy wydarzenia w Północnej Afryce. Dlatego skupiamy dzisiaj tę uwagę na półwyspie apenińskim.

ZAGADNIENIA POLSKIEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ

(Mowa członka Rady Narodowej dr. Tadeusza Kiełpińskiego na posiedzeniu R.N. w dniu 23. marca 1943 roku).

Doceniając znaczenie wszystkich prac państwowych, które omawiali tutaj świetni moi Koledzy — pragnę podkreślić hierarchię ich ważności w tej fazie wojny, którą obecnie przeżywamy. Na czoło wszystkich naszych problemów wylaniają się trzy główne zagadnienia, które długo będą dominowały nad innymi zagadnieniami o równorzędnej ważności. Są to kwestie związane z problemami polityki zagranicznej, wojska i propagandy.

Zwłaszcza zagadnienia z dziedziny polityki zagranicznej wysunęły się na pierwszy plan. Pewne noty sowieckie, zresztą tajne — zostały opublikowane w ulotkach i wzbudziły duży niepokój w armii. Niepokój ten był wytłumaczony o tyle, że żołnierze nasi, znając tylko fragment pewnej akcji dyplomatycznej — byli skazani na domysły, które pewne czynniki wyzyskały w sposób nie licujący z powagą sytuacji. O tych sprawach, związanych z naszą polityką zagraniczną, pragnąłbym mówić.

Upoważnia mnie do tego nie tylko fakt, że nam zaszczyt należy do Komisji Spraw Zagranicznych i brać w jej pracach żywy udział. Nie tylko to, że wielkie zagadnienia międzynarodowe były przedmiotem moich teoretycznych i praktycznych studiów przez kilkanaście lat. Ale należę do stronnictwa, które zdało jeden z najtrudniejszych egzaminów politycznych — a mianowicie egzamin z przewidywań rozwoju sytuacji europejskiej. Nie były to przewidywania oparte jedynie na

negacji polityki, którą prowadził rząd polski przed wrześniem 1939 roku. Nie były to również tanie przepowiednie, oparte na subiektywnym stosunku do poszczególnych osób i wydarzeń. Śledząc z ogromną uwagą zbrojenia niemieckie i posunięcia polityki hitlerowskiej na Zachodzie, a potem we Włoszech i Hiszpanii — staraliśmy się niemal z matematyczną pewnością wyliczyć bieg wypadków.

W marcu 1936 roku, kiedy Niemcy zajęli Nadrenię, zwracaliśmy na łamach „Polonii” uwagę, że nie jest to marsz na Zachód, ale przygotowania do ataku w kierunku wschodnim, że jest to skrócenie frontu zachodniego, aby, oparłszy się na fortyfikacjach nad Renem i w Zagłębiu Saary — można było uderzyć na Wschód. Biliśmy na alarm w sprawie hiszpańskiej, wykazując, że chodzi tu o oskrzydlenie Francji, a co za tym idzie, o zneutralizowanie jej w chwili, kiedy ekspansja niemiecka skieruje się na Europę Środkową. Nieoszczędzono nam wówczas żadnego zarzutu i żadnej kalumnii. W marcu 1938 roku pisaliśmy, że jeżeli padną Sudety, to padnie Czechosłowacja, a jak padnie Czechosłowacja, to obręcz niemiecka otoczy nas od Suwałek po Kołomyję i wszelkie marzenia o prowadzeniu niepodległej polityki rozplyną się jak mgła poranna, co więcej zaistnieje natychmiast niebezpieczeństwo niemieckie na Pomorzu, na Śląsku i w tak reklamowanym „trójkącie bezpieczeństwa”. W październiku 1938 r. „Po-

lonia" określiła datę jesieni 1939 r., jako datę "ataku na inne państwo w Środkowej Europie". Ze względu na cenzurę nie można było napisać, że tym państwem będzie Polska. Przypominam sobie dzień, kiedy żegnałem się z Korfantym odlatującym do Polski na lotnisku w Bourget. Sytuacja polityczna była jasna. Staliśmy przed widmem bezpośredniego ataku niemieckiego na Polskę.

— Jakie jest największe życzenie Pana Prezesa — pytałem — jeżeli chodzi o politykę zagraniczną?

— Jakie — odpowiedział Korfanty — bardzo proste: aby wszystkie nasze przewidywania okazały się niesłuszne.

Były to słowa wydarte nam wprost z pod serca. Wszyscy chcieliśmy się mylić i w naszych obawach i w naszych troskach. Niestety, rzeczywistość potwierdziła je w sposób aż nadto prawdziwy.

W czasie toczącej się wojny jeszcze raz przewidywania nasze sprawdziły się. W szeregu artykułów, umieszczonych w "Polsce Walczącej" przewidywaliśmy wojnę niemiecko-rosyjską. Od chwili przedwczesnego załamania się Francji, było dla nas rzeczą oczywistą, że Rosja znalazła się w niebezpiecznym dla niej impasie.

Przytaczamy to nie ze względu, jak to w pewnym piśmie urzędowym stało, na "mogalomanie na punkcie trafności przewidywań" — przeciwnie, te artykuły w "Polonii" lub w "Zwrocie" czytamy tu w Londynie, ze szczerym smutkiem. Ale jest to pewna legitymacja, uprawniająca nas do zabierania głosu w sprawach polityki zagranicznej.

Po klęsce wrześniowej namnożyło się dużo konkurentów Schillera Szkolnika: co pewien czas wytryskał jakiś prorok, nowy Skarga, który drąc kamizelkę, krzyczał, że on to wszystko wiedział i przewidział. My mamy tu swoje czarno na białym w postaci ocalałych artykułów naszych pism. Jak zaznaczyłem, cytujemy z przykrością gdyż naprawdę dalibyśmy wszystko wzajemian za to, by nasze przewidywania okazały się niesłuszne i obawy urojone. Stało się inaczej. Ale fakt ten nakłada nowy obowiązek: możliwie najspokojniejszego i najobiektywniejszego zanalizowania sytuacji i zgłoszenia się do nowego egzaminu, możliwie najstarannie przygotowanych przewidywań w dziedzinie dalszego rozwoju wypadków.

Proszę Panów, w artykułach i przemowach polskich podkreśla się ciągle olbrzymi wkład Polski do wojny i ogromne znaczenie moralne, które posiadamy od chwili rozpoczęcia się drugiej wojny europejskiej. Pierwsze twierdzenie jest najzupełniej słuszne i trzeba przyjąć je bez zastrzeżeń. Drugie jest tylko częściowo słuszne — i należy wypowiadać je z daleko idącą rezerwą.

Bezpośrednio po klęsce wrześniowej, nasze akcje na terenie światowym nie tylko nie wzrosły, ale przeciwnie, *ogromnie zmalały*. O Polsce wcale nie mówiono z entuzjazmem. Zdania o nas nacechowane były goryczą, a nawet niechęcią. Zestawienie emigracji po r.1831-ym a tej po wrześniu 1939 r. — chybia celu, gdyż o ile pierwsza miała za sobą naprawdę sympatię i uznanie całego świata, to z drugą, przynajmniej w pierwszym okresie wojny, było znacznie gorzej.

Składało się na to kilka czynników. Klęska wrześniowa wywołała uczucie straszne goryczy w nas samych i to we wszystkich sercach w szeregach dawnej opozycji. Pozwolę sobie zwrócić uwagę na fakt, że pierwsze, bardzo ciężkie oskarżenie byłego rządu, zostało wypowiedziane na łamach "Słowa", które rozpoczął wydawać jeszcze w grudniu 1939 r. p.Mackiewicz. Potępił on wówczas zdecydowanie i Sztab Generalny i administrację Składkowskiego i Min.Becka. W słowach, przepełnionych goryczą, zapytywał, czy zawsze w Polsce będą ginęły na ostatnich szanach tylko sztubacy i kobiety? Zwracał uwagę, że gdyby racjonalnie wypracowano projekt obrony Polski — to "bilibyśmy

się do teraz" (zima 1940), to wypadki wojenne mogłyby potoczyć się inną drogą.

Po tym pierwszym artykule nastąpiły inne. Przed wojną bardzo często polemizowałem z Mackiewiczem — i dlatego na jego paryskie artykuły zwracałem pilną uwagę. Przypominam sobie świetny artykuł na temat b.naszego dowództwa i generalnego sztabu fińskiego. Pamiętam artykuł p.t. "*To nie oskarżenie to mowa obronna*" — artykuł druzgocący na miazgę Rydza-Śmigłego i cały reżim.

Artykuły te przesiąknięte uzasadnioną goryczą utkwily mi w pamięci — gdyż oddawały one dobrze nasze własne, wewnętrzne nastroje. O wybielaniu sanacji nikomu się wówczas nie śniło. Wybielanie to nastąpiło dopiero po klęsce Francji, w Londynie — i to dość późno.

Jeżeli takie były nastroje wśród Polaków — nastroje aż nadto słusznie umotywowane — to trudno było szukać lepszych wśród naszych sprzymierzeńców. Rząd gen. Sikorskiego nie zaczynał swej działalności w okresie "uznania dla silnej postawy moralnej, jaką wyrobiła sobie Polska dzięki swemu oporowi". Przeciwnie zaczynał on swą pracę w atmosferze międzynarodowej nad wyraz ciężkiej. Linia naszej polityki oficjalnej przed wrześniem 1939 r. nie była, trzeba to w interesie dobra naszej sprawy podkreślać z całym naciskiem, filoniemiecka albo opanowana przez Niemców. Zarzut filohitleryzmu wysuwa sowieckie radio im.Kościuszki, wysuwał go także pół oficjalny komunikat Tassa, na co zresztą bardzo energicznie i bardzo słusznie reagował nasz Rząd. Piłsudski poddawał w 1933 r. projekt wyprawy przewencyjnej na Niemcy — odrzucony całkowicie przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych Francji, Paul Boncour'a, Beck prowadził politykę t.zw. "równowagi" między Niemcami a Rosją. "Ani milimetr bliżej Moskwy aniżeli Berlina" — brzmiał ówczesny oficjalny slogan. Po paktach nieagresji z Rosją, nastąpił pakt o nieagresji z Niemcami. Pakt nieagresji z Rosją odnowiono, co dobrze było by również częściej przypominać, w listopadzie 1938 r. i przedłużono go na lat 5. W Berteschgaden w styczniu 1939 r. projekt Hitlera wspólnego uderzenia na Rosję, i chociażby tylko neutralności Polski w razie uderzenia Niemiec na Francję i Anglię — odrzucono. Zwracam na to uwagę, gdyż są to poważne atuty, które powinno się wykorzystywać na terenie międzynarodowym — i są to zresztą fakty historyczne, których dyskutowanie jest naszym obowiązkiem.

Ale metody polityki Becka były fatalne i wywoływały w całym świecie jaknajgorsze wrażenie. Prasa rządowa dolewała jeszcze oliwy do ognia, wypisując niesamowite historie, które podawane w odpowiednim sosie na Zachodzie sprawiały wrażenie, że stajemy się jakąś agenturą czynników najzupełniej obcych demokratycznej mentalności Zachodu. Przekonanie o wszechwładzy wpływów niemieckich w Polsce — przekonanie mylne — było jednakowoż niemal powszechne. I tak np. we wrześniu 1938 r., po skandalicznym układzie w Monachium — atakowano w prasie francuskiej nie tylko własny rząd, który nie dochował sojuszu z Czechosłowacją — ale Polskę, która takiego sojuszu wcale nie miała. Hasło "kolonii dla Polski" — hasło rzucone w

Komitet Zarządzający OGNISKA POLSKIEGO podaje do wiadomości, że urządza w każdą sobotę o godz. 18.30 w budynku OGNISKA przy Belgrave Square 45 Londyn, S.W.1. wieczorki dla wojska, lotnictwa i marynarki. Na wieczór składają się: część muzyczna, wspólne kolacja i zebranie towarzyskie.

Na wieczory te Zarząd Ogniska Polskiego zaprasza wszystkich żołnierzy, lotników, marynarzy i ich przyjaciół. Wstęp bezpłatny.

najnieodpowiedniejszym momencie, kiedy Niemcy zaczęły wysuwać swe żądania kolonialne — znalazło w Paryżu najfatalniejszy odgłos. Trudno było to wszystko naprawić w momencie, kiedy trzeba było zabezpieczać się przed nieuniknioną inwazją niemiecką i nastroić społeczeństwo francuskie i angielskie przychylnie dla sprawy polskiej.

Nadomiar złego propaganda polska na całym Zachodzie nstawiona była na tę samą, tak strasznie fałszywą nutę, co w Polsce. Wmawiano w świat tezy o "mocarstwowości polskiej", podawano fantastyczne ilości naszych samolotów, pojazdów mechanicznych i t.d. Jeszcze w lipcu 1939 r. publikowano mapy, nadsyłane z Warszawy, a podające kierunek ofensywy polskiej — w razie wojny — na Pragę i Szczecin. Jeżeliśmy wierzyli, że armia polska jest przygotowana do wojny i posiada dobre dowództwo — to jakże miał temu nie wierzyć świat? Wierzy się zawsze w to, w co się chce wierzyć i dlatego nasze mocarstwowe zapewnienia brano na Zachodzie za dobrą monetę.

To też wrażenie klęski wrześniowej było okropne. Takiej katastrofy nie przypuszczano w najbardziej pesymistycznych obliczeniach. Ogrom jej przytłumił w opinii francuskiej to naturalne echo, jakie powinno było znaleźć bohaterstwo polskie, poświęcenie obrońców Warszawy, Modlina, Helu i Westerplatte.

Tu należy zaznaczyć, że staraliśmy się tym fatalnym nastrojom przeciwdziałać, zwracając już w pierwszych numerach żołnierskiego pisma i wydawanych w zimie 1940 r. broszurach uwagę, że Polska stawiając opór Niemcom, była Winkelridem narodów, że jej poświęcenie pozwoliło Anglii i Francji przeprowadzić mobilizację i przygotować się do odparcia ataku niemieckiego, że te bomby, które padły na Warszawę spowodowały fakt, iż pociski niemieckie nie niszczyły w tym czasie bulwarów Paryża i Londynu. Niestety, tych naszych głosów nie chciały przedrukowywać pisma francuskie. Dochodziło do tego, że nawet dla wybitnych publicystów polsko-francuskich było niemożliwością umieszczenie czegokolwiek o Polsce, i jej walce — w prasie francuskiej. Nie szczędzono nam tylko słów krytyki, do tego stopnia, że nawet "Journal des Debats", dziennik zawsze filo-polski pisał o naszej obronie z przekąsem. Podkreślamy te nastroje dlatego, aby wykazać, że premier Sikorski wcale nie natrafił na "moralne uznanie dla naszego wkładu w wojnę światową" — ale od pierwszego dnia pobytu naszego Rządu w Paryżu, poczęły narastać trudności wywołane rozczarowaniem i płynącą z niego niechęcią. Jak daleko szła ta niechęć, połączona nawet z lekceważeniem — o tem świadczy fakt, uwydatniony na procesie w Riom :

Naczelnny Wódz przedłożył gen. Gamelin dokładne opisy akcji niemieckich dywizji pancernych i eskadr samolotowych w Polsce. Podawano plany obrony, polegające na zmasowaniu wojsk na granicy belgijskiej i zajęciu silnych linii obronnych, któreby, wsparte ruchomymi oddziałami przeciw-czołgowymi pozwoliły na wytrzymanie pierwszego, największego impetu ataku Niemców. Otóż ten polski memoriał, przygotowany nadzwyczaj starannie — znaleziono u Gamelin'a w nieotwartej kopercie !

To wszystko oczywiście nie ułatwiało akcji polskiemu Premierowi, przeciwnie utrudniało ją w najwyższym stopniu. Inna rzecz, że owe lekceważenie naszych ostrzeżeń, nie liczenie się z doświadczeniami wojny polskiej — spowodowało w znacznej mierze późniejszą klęskę Francji. Ale nasza pozycja polityczna na Zachodzie, bezpośrednio po klęsce wrześniowej była nadzwyczaj ciężka.

Trudności te nie zmniejszyły się po przyjeździe naszym do Anglii. Wielka Brytania toczyła walkę we własnej obronie, walkę bardzo trudną. Celom tej walki podporządkowywano wszystko, czemu zresztą nie można się dziwić. Nie można się dziwić zwłaszcza temu uczuciu ogromnego odprężenia, z jakim

powitano wieść o wojnie niemiecko-rosyjskiej. Bezpośrednie niebezpieczeństwo ciężące nad W. Brytanią, zostało na pewien dłuższy okres czasu, zażegnane.

Jakie cechy charakteryzowały polską politykę zagraniczną w tym okresie tak niesłychanie dla nas ciężkim ?

Po pierwsze stwierdzenie, że w hierarchii wszystkich niebezpieczeństw, grożących Polsce, niebezpieczeństwo niemieckie jest groźbą numer 1. Walka z Niemcami stała się odrazu walką nie o takie czy inne granice — ale walką o byt lub niebyt narodu polskiego. Dążeniem Niemiec, zaznaczanym z całym cynizmem było — i zresztą jest w dalszym ciągu — dążenie do wytopienia narodu polskiego. Niemcy chcą, w myśl hasła rzuconych w "Mein Kampf" i przeprowadzonych z żelazną konsekwencją — zawładnąć, a przynajmniej osiągnąć decydujący wpływ na Wschodzie Europy. Chcą dojść do Kaukazu i zdobyć dla swego olbrzymiego przemysłu teren naftowy. Chcą poddać swej władzy Ukrainę, ten spichlerz Europy. Naród polski jest przeszkodą do realizacji tych planów. Naród ten należy więc zniszczyć. Niszczy się go planowo : najpierw przydzieleniem do Niemiec wszystkich obszarów zachodniej Polski i połowy byłej Kongresówki. Chodzi o wyrzucenie z terenu "wielkiego Reichu" wszystkich Polaków wogóle. Drugi etap : to zniszczenie Polaków, zmasowanych w t.zw. Generał-Gubernatorstwie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w razie zwycięstwa plan ten zostałby przeprowadzony w najmniejszym szczególe. W razie zwycięstwa Niemiec byłibyśmy sami i bezsilni. Ten fakt należy podkreślić z całym naciskiem. W razie zwycięstwa nad Niemcami, bez względu na jego możliwe końcowe fazy — jesteśmy zawsze sojusznikami olbrzymich państw zachodnich, które wiążą z Polską nie tylko podpisy na karcie sojuszu — ale wiążą również wspólne interesy i wspólne ideały.

Konsekwencja płynąca z tego stanu rzeczy jest prosta. Walka z Niemcami prowadzona jaknajbezwzględniej. Po drugie: trzymanie się sojuszu z państwami zachodnimi i możliwie najściślej z nimi współpraca. Innego wyjścia nie ma i nie może być. Jakiegokolwiek odchylenia od tej linii byłoby równoznaczne nie tylko z groźnym ryzykiem, ale z katastrofą polityki narodowej.

Należy stwierdzić, że Premier Rządu Polskiego nie tylko z tej linii nie zszedł, ale znacznie ją umocnił mimo ogromnych trudności, które, w tak skomplikowanych stosunkach politycznych, siłą rzeczy musiały zaistnieć.

Z tego pierwszego najważniejszego postulatu, wypływa drugi. Mam na myśli nasz stosunek do Rosji. Układ z Rosją był w tych warunkach, jakie się wytworzyły, koniecznością. *Wojny na dwa fronty nie mogliśmy prowadzić.* Co więcej nie mogliśmy prowadzić wojny z państwem, które stawało się sojusznikiem W. Brytanii. Nie mogliśmy również nie skorzystać z okazji ratowania życia polskiego w Rosji. To są rzeczy jasne — i truizmów tych powtarzać tutaj nie będziemy.

Ale niech nam będzie wolno zwrócić uwagę na fakt, może zapomniany przez wielu krytyków układu. Za porozumieniem z Rosją, za zapewnieniem sobie pomocy rosyjskiej — był we wrześniu 1939 r. również i ówczesny rząd polski. Min. Beck wysyłał z Krzemieńca misję, która miała udać się do Rosji w sprawie zakupu benzyny i sprzętu. Są nawet w W. Brytanii oficerowie, którzy mieli brać udział w tej misji — i zawrócili z drogi z przyczyn najzupełniej nieoczekiwanych. Tego posunięcia bardzo wprawdzie spóźnionego — nikt nie negował, było ono realne było dyktowane koniecznością chwili.

Podkreśla się dzisiaj, że na konieczność zawarcia układu z Rosją zgadzają się wszyscy. Ale — mówi się — nie zgadzamy się na taki właśnie układ, jaki został zawarty. Pakt — powiada się — powinien wyraźnie mówić o granicach, gwarantowanych traktatem. Pakt powinien zawierać klauzulę dotyczącą Polaków

w Rosji. Wszyscy oni powinni jaknajszybciej znaleźć się poza granicami Rosji itd.

Bezwzględnie celem naszym jest dążenie do takiego stanu rzeczy aby Polska zawierała takie traktaty, jakie jej najbardziej odpowiadają. Może Bóg pozwoli, że do tego jeszcze dojdziemy. Ale dziś trzeba się liczyć z faktem, iż nie jesteśmy w Warszawie, iż nie mamy do swej dyspozycji tego atutu siły, zawsze bardzo poważnego czynnika w sprawach międzynarodowych, że, jak to wykazałem, po klęsce wrześniowej, znaleźliśmy się w sytuacji pod każdym, nawet i moralnym względem — nadzwyczaj ciężkiej. W tych warunkach bezsprzecznie wielką zdobyczą Rządu jest, jeżeli mógł zawrzeć układ w którym nie rezygnuje ani z jednej piędzi ziemi, jeżeli mógł nazajutrz po podpisaniu układu przez usta wicepremiera i w dwa dni później przez usta premiera stwierdzić, że *nie odstąpiono, nie zrezygnowano ani z jednego metra kwadratowego polskiego terytorium*. To jest dla nas realne i to jest dla nas obowiązujące. Tym, którzy twierdzą, że za każdą cenę należało wstawić takie czy inne klauzule do paktu, należy zadać pytanie: za jaką cenę? I drugie:

Testament Lenina jest dla polityki komunistycznej takim samym tabu jak dla Niemców „Mein Kampf” Hitlera. Otóż Lenin wcale nie zbroił się przeciwko Niemcom, przeciwnie, za jego życia stosunki niemiecko-rosyjskie były jaknajlepsze, ale Lenin wypowiedział zdanie, że „dopóki istnieje w Europie chociaż jedno państwo kapitalistyczne — Sowiety muszą się czuć zagrożone.” Dlatego też największym dążeniem Sowietów jest staranie się o zamienienie Europy w jedną republikę komunistyczną. Proszę Panów, czy gdyby Sowiety osiągnęły naprawdę już nie tylko zwycięstwo, ale tryumf, gdyby starły Niemcy w proch, czy ktoś krytykujący układ mógłby zaryzykować zdanie, że gdyby w traktacie była jeszcze jedna nawet bardzo wyraźna klauzula — to bolszewicy dla tej klauzuli zrezygnowali by z wykonania testamentu Lenina?

Z pewnością nie. Przecież już dzisiaj kwestionuje się ważność umowy jaknajbardziej jasnej i dotychczas akceptowanej przez władze sowieckie, a mianowicie obywatelstwo polskie naszych rodaków, siłą przetransportowanych do Rosji i tam więzionych w kryminalach i lagrach.

Należy pamiętać że w czasie rokowań o układ rozpiętość propozycji polskich i sowieckich była olbrzymia. Propozycje sowieckie szły bowiem po linii utworzenia komitetów narodowych, polskich, czechosłowackich i jugosłowiańskich na terenie Rosji i pewną pomoc w broni i ekwipunku udzieloną oddziałom polskim, walczącym u boku armii czerwonej. Liczba tych oddziałów w propozycjach sowieckich, miała być niewielka. Sowiety ustosunkować się miały przychylnie do sprawy utworzenia niepodległego państwa polskiego: granice tego państwa miały odpowiadać etnograficznym granicom polskim. Różnice więc między oboma propozycjami polską i sowiecką były ogromne. Miarą wysiłku w zwalczaniu tych trudności jest tekst układu z 30 lipca 1941 r.

Proszę Panów, poza losem Polaków w Rosji, losem, który jest straszny i spać nam nie daje — nie uważam wcale dzisiejszej sytuacji w polityce zagranicznej za tak krytyczną, jak niektórzy chcą ją przedstawić. Spróbujmy ją zanalizować. Kto wywołał ten konflikt z Polską? Ten spór o granice? Oczywiście przecież nie Polska, tylko rząd sowiecki. Jest przysłowie łacińskie: „is fecit, oui prodest.” Ten zrobił to, komu na tem zależało. Rosji zależało na wywołaniu konfliktu. Czy wywołałaby go, gdyby była powna ostatecznego tryumfu, t. zn. decydowania samowolnie o losie Europy Środkowej? Wcale nie, bo w takim wypadku nie oglądano by się w Moskwie na żadne traktaty i Sowiety same egzekwowałyby swe zdobycze. Czyli, Moskwa chce na wszelki wypadek osiągnąć dzisiaj to,

czego własnymi siłami osiągnąć nie potrafi — pragnie na nas wymusić dziś, kiedy ma niemiecki nóż na swoim gardle jakieś rozmowy na temat naszych granic. Jako zastawem posługuje się naszymi rodakami — i to jest bolesne. Ale akcja polityczna, sama w sobie, nie jest, w wytwarzających się warunkach, wcale tak groźna jak to stara się przedstawić propaganda sowiecka.

W czerwcu 1940 r. klęska Francji wywołała u niektórych osób pewne załamanie moralne. Ale ani Sikorski, ani Rząd, ani Rada Narodowa nie miały w tej mierze najmniejszych wahań. Sytuacja była istotnie więcej niż trudna — lecz lotnicy nasi otrzymali rozkaz bicia Niemców, takie same rozkazy dostała marynarka i polecenia stawiania dalszego oporu poszły na kraj. Ta linia była jedyna i oczywiście najlepsza, zgodna nie tylko z naszym honorem narodowym, ale również z najlepiej pojętym interesem.

Otóż ci sami ludzie, którym wydawało się w czerwcu 1940 r. że potęga Niemiec jest niezwalczona — doszli w 1943 r. do przekonania, że Niemcy są już właściwie wykończone, głównym niebezpieczeństwem staje się Rosja sowiecka, z którą zawarto zły układ, przed którą nie obronią nas ani W. Brytania ani Stany Zjednoczone. Słowem, katastrofa, którą tajono przed wojskiem, tajono przed społeczeństwem i t.d.

(Mówca oświeśla obecne położenie międzynarodowe i wojskowe)

Mimo wszystkich swoich klęsk, Niemcy są jeszcze ciągle niebezpieczeństwem No. 1 i dla W. Brytanii i dla Stanów i dla Polski. *O tem nie wolno ani na chwilę zapominać.* Nie wolno również zapominać, że z tym faktem i rząd brytyjski i nasz Rząd — muszą, się jaknajbardziej liczyć. Że z tego powodu trzeba dzisiaj ścierpieć niejedno. A nadewszystko, że trzeba zachować spokój i możliwie najsilniejsze nerwy.

Miałem zaszczyt nakreślić i uwypuklić główne linie naszej polityki zagranicznej. Są to linie w swych najważniejszych zarysach — bezwzględnie słuszne, najzupełniej podzielane przez kraj, logiczne i konsekwentne. O tę konsekwencję najbardziej chodzi. Pamiętajmy, że w polityce może nie być, jak niektórzy twierdzą, rzeczy dobrych i złych — ale są zawsze konsekwencje.

Brak konsekwencji i jasno wytkniętych celów zaciężył bardzo niekorzystnie na polskiej polityce przedwrześniowej. Od początku tej wojny wogóle, a od czerwca 1941 w szczególności — nasza polityka zagraniczna składa się z zagadnień niezwykle trudnych, problemów tak skomplikowanych, że rozwiązanie ich przypomina nieraz kwadraturę koła. Pomoc, którą dzisiaj należy okazać Rządowi, jest obowiązkiem wszystkich Polaków bez względu na ich taki czy inny personalny stosunek do tego Rządu. Mówiono mi o pewnym polityku, który zapytany jakie ma rady na pokonanie pietrzących się przed nami trudności — miał odpowiedzieć, że to jest jego sekret, że może go odkryć dopiero po dojściu do władzy. Nie chce mi się w to wierzyć. W „Księgach Pielgrzymstwa” Mickiewicza jest mowa o lekarzach, którzy chcieli leczyć chorą rozmaitymi metodami. Tutaj nie byłoby nawet metody. Mówione by: nie podam chorej Matce lekarstwa, jeżeli nie oddacie mi władzy. Im Matka będzie bardziej potrzebowała tego lekarstwa — tym mam większe szanse. Takie stawianie kwestii byłoby potworne — i dlatego sędzę, że nikt z Polaków tego zdania nie wypowiedział, że wieści o tem trzeba złożyć na karb nadwątlonych nerwów.

Proszę Panów, bardzo krótki przeciąg czasu, jaki mam do swojej dyspozycji, zmusza mnie do rezygnacji z naświetlenia wielu bardzo ważnych zagadnień naszej polityki zagranicznej —

Nowość !!

MODERN LANGUAGE **POLISH READER**

6/- oprawa płócienna

Wyjāti z powieści polskich po polsku i po angielsku

Składnica Księgarska, 1 Atholl Place, Edinburgh

m. in. analizę polityki Stanów Zjednoczonych i Chin — zagadnień o pierwszorzędnej dla nas wartości. Teraz tylko chciałbym ująć w kilku punktach najważniejsze nasze poglądy na najbardziej aktualne problemy polskiej polityki zagranicznej:

1) Celem polskiej polityki jest nie tylko wygranie walki o byt lub niebyt narodu, *ale również dążenie do stworzenia takich stosunków któreby zabezpieczyły naszą niepodległość o wiele trwalej aniżeli Traktat Wersalski*. Między dynamizmem niemieckim a ogromnym morzem rosyjskim nie ma miejsca na państwo słabe i małe. Polska skazana jest na potęgę, tak, jak samolot skazany jest na szybkość. Potęgę tę można będzie osiągnąć nie tylko przez obronę nienaruszalności naszej granicy wschodniej i powiększenie zachodniej — ale przez stworzenie federacji czy unii, łączącej te kraje, które znajdują się w takich samych warunkach geograficznych i historycznych jak Polska. Sama federacja czy unia z Czechosłowacją jakkolwiek konieczna — nie wystarczy. Dlatego obowiązkiem naszym jest najpilniejsze śledzenie wszystkich problemów politycznych, zarówno w Europie Środkowej jak i nad Bałtykiem.

2) Dla Polski i dla Europy groźni są nie tyle sami Niemcy, ile Niemcy zjednoczeni pod przewodnictwem Prus. Hegemonia pruska w Niemczech miała najfatalniejsze skutki i dla Niemiec i dla całej Europy. Celem wojny obecnej powinno być w pierwszym rzędzie obalenie hegemonii Prus i poparcie tych dążeń separatystycznych i wolnościowych, jakie zaznaczyły się w południowych Niemczech. Pozwolę sobie przytem zaznaczyć, że dążności te były poważne. Hitler nie zgodził się na plebiscyt w sprawie niepodległości Austrii, gdyż istniały poważne dane, że plebiscyt ten przegra. Dlatego też plebiscyt, zarządzony przez Schuschniga, był bezpośrednim powodem wkroczenia wojsk niemieckich do Austrii. Pewne, jakkolwiek nierównie słabsze dążności separatystyczne były również po zawieszeniu broni w 1918 r. w Nadrenii. Po klęsce Niemiec, wzrost dążności separatystycznych w krajach południowych, katoličkih, jest rzeczą bardzo prawdopodobną. Należy już dzisiaj powziąć plany, które trzeba realizować po skończeniu działań wojennych.

3) Polityka polska opiera się na najściślejszym przymierzu z W. Brytanią i Stanami Zjednoczonymi. Przymierze to należy pogłębić i umacniać wszystkimi środkami, stojącymi do naszej dyspozycji. Trudności oraz ciężka sytuacja W. Brytanii w wielu problemach pierwszorzędnej wagi, o ile chodzi o wojnę z Niemcami — muszą być przez nas wszystkich brane pod uwagę.

4) W sprawie stosunku do Rosji: dążymy do najbardziej poprawnych relacji z rządem rosyjskim. Chcemy i będziemy rozmawiać w Moskwie na wszystkie tematy, z wyjątkiem tych, które by dotyczyły jakichkolwiek zmian ustalonej i gwarantowanej przez Rosję — ostatni raz w listopadzie 1938 r. — granicy polsko-rosyjskiej. Temat dotyczący zagadnień walki ze wspólnym wrogiem — jest tak ogromny, że może najzupełniej wyczerpać wszystkie zainteresowania rosyjskie. Deklarację naszego Rządu w sprawie stosunków polsko-rosyjskich uważamy za bardzo trafną i bardzo na czasie. W sprawie tej nie może być żadnych nieudomówień.

5) Los ludności we wschodnich województwach polskich napawa nas ogromną troską. Zarówno los naszych rodaków w kraju jak również los tych setek tysięcy Polaków, których z Rosji wywieść nie było można. Nie zamierzamy tać, że los tych ostatnich jest okropny. Wzywamy Rząd do podjęcia wszystkich kroków — aby tych ludzi ratować. Trzymanie jako zakładników setek tysięcy obywateli sojuszniczego państwa — i to państwa, które zasłoniło Rosję przed inwazją niemiecką — jest faktem bez precedensu w historii świata.

6) Wojna obecna toczy się nie tylko o zwycięstwo nad Niemcami. Zwycięstwo nad Niemcami jest środkiem do celu. *Celem*

jest ustalenie nowego, sprawiedliwego ładu w Europie i przywrócenie równowagi europejskiej. Wszelkimi dostępnymi nam środkami, należy wzmacniać wśród ludów anglo-saskich i wogóle w całym świecie przekonanie, że Polska jako ośrodek federacji środkowo-europejskiej — jest najważniejszym czynnikiem równowagi tej części Europy. Wkład Polski do wojny, przez samą decyzję nie poddania się Niemcom i zdeterminowanej obrony, przeciwko agresji niemieckiej — jest olbrzymi. Należy uwypuklić światu ten fakt historyczny, że gdyby nie Polska, toby Hitler naprawdę zawładnął całym kontynentem Europy bez walki, a niebezpieczeństwo grożące Wielkiej Brytanii i Ameryce byłoby nie do odparcia. Nie jest to nasza megalomania, jest to fakt historyczny, który musi być waloryzowany w interesie i Polski i świata.

Wobec roszczeń rosyjskich należy podkreślić również tę okoliczność, że *Polska na propozycję wspólnej z Niemcami wyprawy na Rosję nie poszła*. Tym samym ocaliliśmy Rosję od niechybnej zagłady, za co wiadomo w jaki sposób się nam odplacono. Wogóle cały, zarówno militarny jak i polityczny wkład Polski do wojny, musi być należycie uwypuklony, zupełnie niezależnie od jakichkolwiek personalnych sympatii czy antypatii, które w walce o byt lub niebyt narodu nie tylko żadnej roli nie powinny grać, ale które są zakałą naszego życia wewnętrznego.

7) Obowiązkiem każdego Polaka jest pomóc Rządowi w jego staraniach, pomóc czy to przez czynne współdziałanie z tym Rządem, czy to przez tworzącą kierującą się li tylko interesem Państwa krytykę. Terenem tej krytyki powinna być w tych warunkach, w których się znajdujemy, nie tyle prasa — ile Rada Narodowa. Możemy uznać i cenić dążenie, aby wszyscy Polacy znaleźli się w jednym obozie walki o Polskę. Ale trzeba potępić wszystkie chwytły, zmierzające do podkopania zaufania armii polskiej do Rządu i Naczelnego Wodza, do wygrywania własnych personalnych melodii na tak bardzo nadwyrażonych nerwach wojska polskiego. Trzeba zdać sobie sprawę z faktu, że zwycięży ten, kto zdoła przetrwać w dobrym nastawieniu psychicznym nie tylko ostatnią godzinę ale i ostatni kwadrans. Cele wojny Polski są olbrzymie. Te olbrzymie cele wojny powinny odsunąć w dal wszystkie spory o dzień wczorajszy. Żołnierz walczący o Polskę chce patrzeć w przyszłość.

Proszę Panów, kończąc swą mowę, chciałbym podkreślić jeszcze jedną okoliczność, której źródła nie leżą ani w ramach naszej krytyki ani naszej polityki. Kraj nasz przeszedł i przechodzi straszne katusze, ale i życie nasze i życie tych, którzy walczą w kraju, jest niczem, wszystkim jest Polska. I gdy myślimy o Polsce, tej białoczerwonej tarczy na ciemnym kirze dziejów — to, mimo wszystkich nieszczęść w nasz kraj bijących, mamy wrażenie, jakby jakaś ręka prowadziła Ojczyznę poprzez straszne ciemne dróg — ale ku światłu. Naród stawiał bohaterski opór Niemcom i sztandar swego honoru podniósł bardzo wysoko. To nie może być zapomniane i zapemniane nie będzie. Przyszła klęska zadana i przez Niemcy i przez Rosję. Ale armia odrodziła się na polach Francji. Przyszła katastrofa francuska i wydawało się, że następuje koniec. Wtedy zajaśniał cud bitwy nad W. Brytanią i jeden z promieni nieśmiertelnej sławy spłynął również na orły naszych lotników. Tragedią Polski było przymierze niemiecko-sowieckie. I nagle mamy wojnę między tymi państwami. Kraj zachowuje nie tylko obronną odporność i hart ducha. Kraj zachowuje również, co jest rzeczą niesłychanie ważną, mądrość polityczną, zdrowy instynkt wielkiego narodu. Droga do Polski jest trudna. Panują jeszcze ogromne ciemności. Ale są to ciemności przed świtem. Ta ręka, która prowadzi Polskę pisze już na murach państw będących posiewem sił złych słowa „Mane, Tekel, Fares.” I tu nad brzegiem Tamizy czujemy, że z nami są słowa, wyrzeźbione na drzwiach katedry wawelskiej:

“Si Deus nobiscum, quis contra nos?”